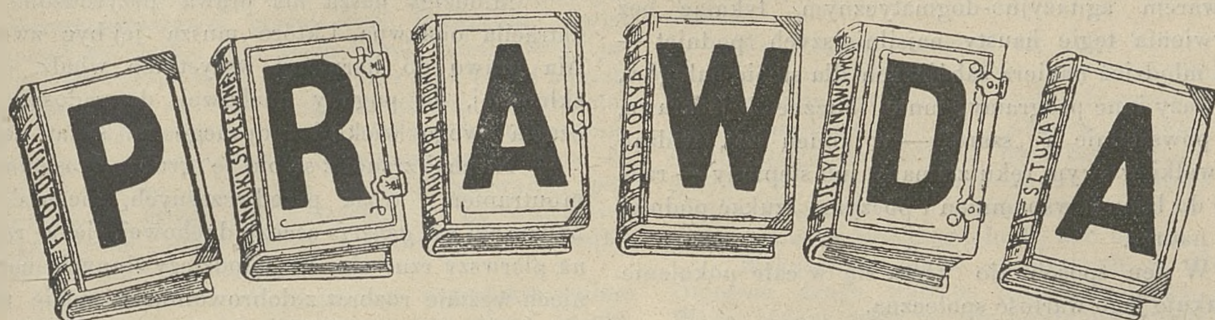
Nr 26 (1589). Warszawa, 1 lipca 1911 r. Rok XXXI



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na kwart. 3-ci.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wśród młodzieży.

Ogłoszona niedawno statystyka stawia przed oczy społeczeństwa bardzo niepokojący objaw, a mianowicie wzrost samobójstw wśród naszej młodzieży w wieku szkolnym.

W Rosji podobno jest o wiele gorzej pod tym względem; marna to jednak pociecha. Utarł się ostatnimi czasy zwyczaj powoływania się na stosunki rosyjskie; tego zwyczaju należy pozbyć się gruntownie. Jedynym dla nas kryterjum, którego nie powinniśmy spuszczać z oka ani na chwilę — jest zachodni świat ucywilizowany.

Tam neurastenja wśród młodzieży jest rzeczą nieznaną. Łatwo zrozumieć dlaczego: w życiu normalnym społeczeństw zachodnich niema tych warunków, które muszą przygnębiać młodą, wrażliwą psychikę; niema też tej szczególnej newrozy polityczno-społecznej, będącej stałą, endemiczną chorobą naszej młodzieży.

Czas już najwyższy wskazać płynące stąd zło i położyć mu tamę. Żywioły postępowe, stawiąc wysoko ideał pracy społecznej i kulturalnej, powinny dbać o stosowny dobór materjału; nie wolno ubiegać się o czynny sukurs młodzieży, jak dotąd czyniono, bez względu na jej dobro i na naturę pracy bardzo ciężkiej i bardzo odpowiedzialnej.

Ogół, idąc za bezkrytycznym popędem, darzy wielką sympatją ową dobrowolną powinność społeczną, jaką młodzież na swe barki zwala, gdy tymczasem bilans korzyści i strat stąd wynikłych dla społeczeństwa w rezultacie musi wypaść ujemnie. Przedewszystkim, sama młodzież w czołowych swoich zastępach t. zw. społeczników — szczerbi się i kruszeje. Trudno ogarnąć cały ogrom tego spustoszenia. zwłaszcza w czasie reakcji, dziś panującej. Iluż to się tworzy młodych starców, ilu neurasteników niezdolnych do życia, ilu zgorzkniałych pesymistów, ilu śledzienników dozgonnych!

Młodzi samobójcy stąd się też głównie rekrutują, z pośród najlepszych i najwrażliwszych na zewnętrzne bodźce, pierwszych do ofiary sił swoich i życia, ostatnich w odwrocie. Ci nie ugięli się, ale się skruszyli pod młotem klęski.

Czyniąc ze siebie akt wiary (*auto da fe*) przełożyli śmierć w pogorzeli nad powszednią krzątaninę dokoła nowych rusztowań.

Ale są i inni — nierównie liczniejsi; — ci nie łamią się tragicznie, lecz dla narodu niemniej są straceni; zgaszony ich zapał (często powierzchowny) i rozbita wiara wyradza się w cynizm krańcowy, w apoteozę płaskiego użycia, w snobizm erotyczno-kawiarniany.

Jest to również samobójstwo — ducha.

Nie trzeba się łudzić, przypuszczając, że młodzież wyjdzie naogół obronną ręką z dzisiejszego kryzysu. Zrównoważona odporność nie jest jej cechą psychologiczną; młodzież ma zawsze to do siebie, że garnie się do najdalszych, najbardziej wygórowanych celów, ima się robót cyklopowych i stroni od metod polityki pozytywnej. Najsilniej też odczuć musi cios niechybnego zawodu.

Są oczywiście i wśród niej wyjątki — nieliczne jednostki, obdarzone zmysłem urodzonych, prawdziwych społeczników, które, idąc za powołaniem, zwiększą z czasem zastęp czynnych obywateli swego kraju.

Naogół jednak normy pracy pozytywnej nie mają dla młodych, egzaltowanych umysłów żadnych ponęt; młodzież wśród tych norm nie żyje, nie wzrasta, lecz — *dorasta* do nich i to w najlepszym razie.

Tymczasem wszystko składa się na fatalne w tym względzie przeszkody.

Wytrącona gruntownie z równowagi, karmiona od lat najmłodszych haszyszem upojeń partyjnych i odwarem agitacyjno-dogmatycznym, łykając bez skrzywienia tęgie hausty najsilniejszych podniet — nasza młodzież nabiera zabójczych dla siebie nałogów, lekceważy inne programy, mniej huczne i jaskrawe, zato powszednie i „szare" — w końcu zaś, widząc oręż walki w swym ręku złamany lub stępiony — rzuca go do lamusa wspomnień i poczyna szukać podniet innej natury.

W ten sposób zło wżera się w całe pokolenie i redukuje jego wartość społeczną.

Poziom sił żywotnych musi upaść w narodzie, którego przyszłość skażona jest u źródła.

* * *

Oto krótka djagnoza; przejdźmy do terapji. Oczywiście, jak wszędzie, tak i tu, żaden środek uniwersalny, żadne panaceum nie istnieje. Zupełna zmiana wszystkich warunków życia publicznego u nas, skasowanie iście więziennych rygorów byłoby radykalnym rozwiązaniem kwestji. Natomiast, gdy niepodobna zła usunąć, należy go możliwie osłabić.

Trzeba więc zwrócić młodzieży — *młodość*, ów skarb bezcenny, który ona trwoni z królewską hojnością *pro publico bono* przy milczącym poparciu społeczeństwa.

A przecież rozumne i dbałe o swą przysłość społeczeństwo nie powinno z lekkim sercem przyjmować tej ofiary. Powinno ono zdjąć z bark młodzieńczych ciężar poświęcenia i obowiązków społecznych, tak ochoczo i bezkrytycznie podjęty. Przedwczesne i zabójcze przeciążenie umysłu skutecznie można wyrugować przez harmonijny rozwój cielesny. Śladem greków starożytnych i anglo-sasów współczesnych powinien i nasz ogół zrozumieć, że kształcenie mięśni równą ma wartość, jak i kształcenie umysłu. W gimnastyce i sportach, tak licznych obecnie i tak urozmaiconych, odnajdzie nasza młodzież niewyczerpane źródło rozkoszy życiowych, których się sama wyzbyła dobrowolnie.

Młodzież nasza ma prawa przyrodzone, które zatraciła oddawna, i które muszą jej być zwrócone. Ma prawo do harmonji wszystkich władz, obecnie skłóconej, do pogody duchowej, do radosnego poczucia swego wieku i radosnego na świat poglądu.

Niechaj zrzuci z siebie tę grubą włosiennicę samoutrapień i trosk przedwczesnych, niech się wyzbędzie tej *sui generis* ascezy duchowej, jaką różni się na pierwszy rzut oka od młodzieży innych narodów, niech weźmie rozbrat z dobrowolnie na siebie nałożoną panszczyzną pełnienia posług partyjnych, niech nie przeciąża mózgu i nie zaniedbuje fizycznego swego rozwoju—a napewno odzyska utraconą odporność życiową i zachwianą równowagę ducha.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Ponad zatargiem o Maroko, wyborami w Austrji, przesileniem we Francji i fermentem na Bałkanach górował w tym tygodniu odgłos olbrzymich uroczystości koronacyjnych, którymi naród angielski uczcił nowego króla na dziedzictwie ojcowym.

W dniu koronacji, wśród aplauzu nieprzejrzanych tłumów, w asystencji najmożniejszej na świecie arystokracji rodowej tudzież przedstawicieli wszystkich mocarstw, Jerzy V objął panowanie nad imperjum, jakiego świat jeszcze nie widział — i może więcej nie zobaczy. Bowiem zdaniem ogólnym jest dziś Wielka Brytanja u szczytu rozwoju terytorjalnego i dalszy jej rozrost wydaje się mało prawdopodobnym. Siła ekspansji brytańskiej wypełnia szczelnie wszystkie możliwe do zagarnięcia lądy, najżyzniejsze i najbogatsze ziemie na globie. Jej wpływy pośrednie, zwłaszcza w dziedzinie przemysłu i handlu, mimo rosnącej samowystarczalności innych krajów wytwórczych, nie mają sobie równych; kapitał angielski króluje we wszystkich częściach świata.

F. ARNSZTAJNOWA.

LUCANIOLO.

Dramat w 1 akcie wierszem.

O S O B Y:

Paolo — książe panujący.
Baccio del Bene.
Beata — jego córka.
Lucaniolo — rzeźbiarz.
Ascanio — jego uczeń.
Fiammetta — modelka.

Rzecz dzieje się we Włoszech w epoce Odrodzenia.

Scena przedstawia pracownię Lucaniola. Po lewej od widza fotele, stół, makaty, słowem część mieszkania, bogato urządzona, po prawej właściwa pracownia, posągi, niektóre okryte mokrymi płachtami, podjum dla modeli, w kącie kupa gliny, duża bryła marmuru, w głębi widać olbrzymią masę, jakby posąg niewykończony, pokryty ogromną płachtą. Na lewo drzwi prowadzące do dalszych komnat, w głębi logietta, przez którą się wchodzi, widok na ogród.

Przy podniesieniu zasłony Ascanio obkuwa młotem bryłę marmuru. Fiammetta stoi przed jednym z posągów w zamyśleniu, tyłem odwrócona do Ascania.

Ascanio

Fiammetto!... hm... nie słyszy... poczekaj dzierlatko...

(skrada się na palcach i nagle obejmuje ją, usiłując pocałować).

Fiammetta

Cóż to znów za dowcip!... (odpycha go).

Ascanio

Patrzcie, jaka święta!
Odkądże to całusów boją się dziewczęta?

Fiammetta

Wiesz, że tego nie lubię.

Ascanio

Cóż więc lubisz, proszę?

Marynarka — główna ostoja tej niezmiernej potęgi — dzierży chlubną tradycję sprawności, techniki i siły. Rewja morska w Spitehead, będąca finałem uroczystości, gromadząc u brzegów Anglji kilkaset olbrzymów pancernych, wyciągniętych w sześć rzędów aż na skraj horyzontu, była jakby żywym, potężnym refrenem narodowej pieśni: *Rule Britannia*. Świat zdumiał się wobec tak niezmiernej, babilońskiej jakiejś i niewspółczesnej ostentacji, z jaką naród angielski wprowadza na tron swego monarchę. A przecież ten sam naród angielski nie pozwala nikomu zapomnieć i sam nie zapomina, że mimo zamiłowania do tradycji często prastarych, położył podwaliny pod współczesny ustrój demokratyczny, a i na wszystkich polach życia i pracy nie da się nikomu wyprzedzić w idei i praktyce postępu.

I rzecz znamienna: imperium brytańskie, mimo lewiatanowych swoich rozmiarow, nie ciąży światu, nie tamuje rozrostu żywotnych sił ludzkości, nie jest zawadą dla ewolucji podległych mu krajów i ludów; przeciwnie — jak ongi *pax romana* tak i dziś *pax britannica* jest najcenniejszą rękojmią kultury, porządku i dobrobytu...

Sprawa marokańska, jątrzona od lat 10, wchodzi w nową, arcyciekawą sprawę zatargu pomiędzy Francją i Hiszpanją o granice wpływów terytorjalnych; prasa francuska nie szczędzi cierpkich wymówek sąsiadce z za Pirenejów, co brzmi dość zagadkowo wobec faktu istnienia tajnej między tymi państwami umowy względem Maroka. Niezbadane są jednak tajniki dyplomacji, która, jak pewne kufry, mieć może dno podwójne..

Wybory w Austrji, zakończone dotkliwą klęską t. zw. chrześcijańsko-socjalnych we Wiedniu, spowodują zapewne kryzys gabinetowy, a może i rozwiązanie Izby. Prą ku temu zawiedzeni i gniewni pupile nieboszczyka Luegera; tęgie ich apetyty nie mogą pogodzić się z tym nagłym odsunięciem od pełnej misy wpływów i zaszczytów, jakich miały poddostatkiem w ciągu ubiegłej kadencji.

Zgiełkowi chrześcijańsko-socjalnych malkontentów sekunduje wytrwale ze Lwowa pobita „wszechpolska" koterja, która pośpieszyła odwołać „swego" ministra Głębińskiego i wszelkimi siłami skłania wiedeńskich towarzyszów niedoli do wystąpienia z większości rządowej i przejścia do opozycji a nawet obstrukcji. Bowiem „wytrawni" „trzeźwi" „zdolni do pracy" i namaszczeni powagą swego stanowiska, gdy są przy władzy, pp. demokraci narodowi rychło stają się niepoprawnymi warcholami, skłonnymi do najgorszych wybryków, skoro tylko znajdą się w opozycji.

Obecna ich postawa po klęsce galicyjskiej wymownym jest przyczynkiem do psychologji tego stronnictwa.

We Francji rozegrał się znów kryzys ministerjalny z powodów formalnie zupełnie błahych, co niekorzystnie wyróżnia republikę francuską w rzędzie państw parlamentarnych. Zresztą, zauważyć trzeba, że po tragicznej śmierci nieodżałowanego Berteaux gabinet p. Monisa stracił ze swej podstawy główny węgieł i począł się chwiać, zwłaszcza, że niedomaganie premiera przeciągnęło się nad miarę.

Wskazanym jakby na następcę p. Monisa był Delcassé, druga wybitna osobistość tego gabinetu. Widać jednak ciąży na tym polityku pamięć groźnego w r. 1905 zatargu z Niemcami, skoro, by nie drażnić na razie podejrzliwego Berlina, do steru państwa powołano p. Cailloux, który pełnił był rolę ministra skarbu w gabinecie Clemenceau i na tym stanowisku, jako autor projektu podatku dochodowego, wykazał dużo dobrej woli i szczerych demokratycznych intencji, czego mu dotąd *haute finance* nie może darować.

W przyszłym ministerjum Caillaux, Delcassé pozostanie zapewne na swym stanowisku szefa marynarki i ważną swą pracę nadal będzie kontynuował.

Walka o oświatę.

P. W. Rzymowski wygłosił wielką prawdę, twierdząc, że biurokracja rosyjska jedynym była zapewne rządem, który abecadło uznał za artykuł niebezpieczny dla państwa. Walkę z tym niebezpieczeństwem widzimy na każdym kroku. Ale dodać winniśmy, że rząd nie jest odosobniony, że ma silnego i żarliwego sprzymierzeńca w tysiącach reakcjonistów, którzy tak samo żądają ograniczenia oświaty, „jak się ogranicza rozpowszechnienie prochu, dynamitu lub bawełny strzelniczej". Rząd sam przez się możeby nawet nie miał tak silnego bodźca do owych ograniczeń, gdyby nie był popychany przez owe olbrzymie zastępy wrogów światła, którzy twierdzą, że wszelka „kramoła"

Mów, niechże wiem nareszcie: kwiaty?.. tańce?.. wino?..
Przecieżem nie ostatni... znajdą się i grosze...

Fiammetta

Właśnie mi nawet twoje zalecanki w głowie.

Ascanio

Cóżeś się tak nadęła?... ej, słuchaj dziewczyno,
Coś mi się wszystko zdaje, że patrzysz wysoko.

Fiammetta

Czy wysoko, czy nizko, tobie nic do tego.

Ascanio

Widzę ja to oddawna, że ci mistrz wpadł w oko.

Fiammetta

Zkąd ci ta myśl?

Ascanio

Nie trudno domyśleć się zgoła
Widząc jak wzrok twój chciwie za nim biegnie wszę-
[dzie.
Rumienisz się — gdy spojrzy, drżysz—gdy cię zawoła,
Gdy się uśmiechnie — twoje wnet śmieją się usta,
Gdy smutny — łzy masz w oku, zły — bledniesz jak
[chusta.

Fiammetta

Zdaje ci się...

Ascanio

Nie... widzę dobrze, co się święci...
Ale wierz mi, Fiammetto, to się nie zda na nic,
On nie dla ciebie, dziecko...

Fiammetta

Zbyt dobrze wiem o tym...
Nie jestem tak dziecinną, by wyzbyć z pamięci,
Jaka przepaść olbrzymia, nieprzebyta, dzieli
Wielkiego pana, mistrza wszechświatowej sławy,
Od biednego dziewczęcia, co w rybackiej chacie
Za cały skarb ma barkę i węcierz dziurawy.
Wiem ja dobrze, że nie mnie w oblubienic szacie,
W wieńcu z mirtów zielonych i w welonów bieli
Stanąć przy jego boku... ach, dość dla mnie szczęścia,
Gdy oko jego na mnie spocznie choć przez chwilę,
Gdy balladą rybacką, lub rzewną piosenką
Troskę rozerwać zdołam, lub sjestę umilę,
A gdy wpatrzony we mnie kształt mój daje glinie.
Duma, że się do mistrza arcydzieł przyczynię.

wypływa z abecadła. Wprawdzie gdyby nie to abecadło, to p. Wonlarlarskij i spółka nie wiedzieliby o istnieniu lasów nad rzeką Jalu, a gdyby nie te lasy, o których się dowiedziano dzięki znajomości abecadła, nie byłoby wojny japońskiej i reakcjoniści rosyjscy dotąd nie wiedzieliby, ile się kryje dla Rosji niebezpieczeństwa w znajomości abecadła... śród Japończyków...

Nauka jednak, tym razem wbrew przysłowiu, poszła w las... ten sam, którego nie zdołano wykarczować... Niebezpieczeństwo abecadła japońskiego wzięto dosłownie i uogólniono. Stąd po zapanowaniu powrotnej fali reakcyjnej wysnuto z wojny japońskiej wnioski wręcz przeciwne niż te, jakie wygłaszano świeżo po klęsce. Mówiono mianowicie wtedy, że skoro Japończycy odnieśli zwycięztwo za pomocą abecadła, nie należy tego środka prześladować w Rosji, lecz przeciwnie, dać mu prawo szerokiego obywatelstwa. Nawet konserwatywne pisma rosyjskie twierdziły, że terminologję „tajnego nauczania", zaliczoną do kodeksu karnego, należy znieść a natomiast stworzyć samo nauczanie, do którego miałby prawo każdy obywatel kraju. Tym sposobem tanimi środkami, bez łożenia miljonów, których zbyt dużo niema w rozporządzeniu ministerjum skarbu na cele oświatowe, można byłoby zapoznać miljony dzieci i dorosłych z cudownym kluczem do wiedzy i wszelkich darów świata: z abecadłem.

Ale... przyszła rewolucja i zmyła bez śladu to przekonanie. Zapanowała znowu alfabetofobja, bo z abecadła wynikła „kramoła".

Jest w tym część prawdy: abecadło było tu ważnym czynnikiem, gdyż „kramoła" w gruncie rzeczy była protestem przeciwko niedopuszczaniu ludności do abecadła. Z braku bowiem jego posiadania przez masy wynikły wszelkie klęski i nieszczęścia, nędza, niedola, niesprawiedliwość i t. d. Taka jednak interpretacja roli abecadła w „kramole" jest niedopuszczalna w sferach biurokratycznych i społeczno-reakcyjnych. Abecadło uznano za zbawienne i dopuszczalne tylko dla sfer immunizowanych na działanie szkodliwe alfabetu.

Na tle takich właśnie pojęć toczy się walka o oświatę. Armaty i karabiny maszynowe szybkostrzelne mówców, strzelających tysiącznymi argumentami, ustawiono w Dumie. Ale przeciwko tym obrońcom oświaty wystąpiły zbrojne hufce reakcji, na których czele nie brak przywódców z pośród... przedstawicieli narodu. Jest tedy wojna domowa, bo z jednej strony abecadło zalicz ono do zbawców, z drugiej — do wrogów ojczyzny.

Przejdźmy do najwymowniejszych argumentów: do cyfr: podczas spisu, dokonanego w końcu stycznia r. b., wszystkich szkół początkowych jedno i dwuklasowych (wyłączywszy szkoły zawodowe i prywatne) państwo rosyjskie posiadało 100,196. Wydatki zaś na te szkoły w r. 1910 wynosiły 90,7 mil. rb. Uczniów było (w cyfrach okrągłych) 6,178 tysięcy. Na 100 osób przypada przeciętnie 3,8 w roku zaś 1894 było 2,4 uczącej się dziatwy, gdy tymczasem Japonja w r. 1894 miała mniej niż 8 na 100 mieszkańców, a teraz posiada 13 na 100. Tym sposobem w jednym okresie czasu procent dziatwy uczącej się wzrósł w Rosji o 1,4 a w Japonji o 5.

Nawet trzecia Duma przyszła do wniosku, że wprowadzenie nauczania powszechnego jest „koniecznością państwową" i pod tym względem poszła ona dalej niż ministerjum oświaty, gdyż zażądała na rok bieżący 10-ciu miljonów dodatkowych rb. na oświatę powszechną Suma ta ma być przeznaczona na otwarcie nowych szkół z początkiem nadchodzącego roku szkolnego. Komisja Rady Państwa zaproponowała szereg poprawek w redakcji projektu prawa, opracowanego przez Dumę. Zebranie ogólne Izby wyższej nie zgodziło się ani z Dumą, ani z poprawkami komisji. Większość wypowiedziała się za przekazaniem projektu prawa innej komisji dla nowej rewizji.

Tym sposobem sprawę stworzenia nowych szkół w roku bieżącym można uważać za pogrzebaną. Duma rozpocznie swoją pracę dopiero w końcu października. Ponowne rozważenie całej tej sprawy przeciągnie się do końca listopada. Pieniądze zaś do dyspozycji ziemstw będą dane nie wcześniej aż w końcu roku. Pierwsze półrocze będzie tedy zupełnie stracone a drugie pójdzie na roboty przygotowawcze; więc dopiero na początek przyszłego roku szkolnego szkoły mogą być gotowe.

Jakkolwiek ogólna suma wydatków na szkoły początkowe urosła do cyfry pozornie imponującej: 90,798,199 rb., trzeba wszakże brać pod uwagę cyfry dziatwy, która nie ma wstępu do szkół: a jest jej więcej niż połowa ogółu dzieci w wieku szkolnym. W szkołach początkowych ogółem uczy się 43 proc. dziatwy wieku szkolnego. Taką cyfrę, stojącą jednak daleko poza potrzebami istotnymi, zdołano osiągnąć w ciągu ostatnich czterech lat. Od r. 1861 do 1905 otwarto 66,850 szkół początkowych, a od r. 1906 do 1910 włącznie przybyło 24,581 nowych szkół. Wzrost

---

Dreszczem boskiej rozkoszy całą mię przenika...
Ach, nie pragnę nic więcej.

Ascanio

I to ci zabiorą.

Fiammetta

Ascanio!

Ascanio

Dziecko z ciebie... jest że to podobna,
By Lucanio, mistrz sławny i przyjaciel księcia
Wiecznie stronił od dworu?... że w dziwnym uporze
Zamknął się w swej pracowni niby mnich w kla-
[sztorze —
Z jakich powodów niewiem... lecz to trwać nie może.
Dość spojrzeć nań, by widzieć, że go ta żałobna
Cisza dławić zaczyna... wierz mi, patrzeć tylko,
Jak do dworu i księcia powróci stęskniony,
Akt skruchy do stóp pięknej niosąc narzeczonej.

Fiammetta

Narzeczona... o Boże...

Ascanio

Jakto, nie wiesz o tym?
Ależ tak, narzeczona... i to jaka jeszcze,
Córka Baccia del Bene, pana, dygnitarza...
A piękna!... jak lilija, jak obraz z ołtarza,
Oczy — szczere fijołki, usta — płatki róży,
A włosy... ach te włosy — istne złota strugi,
Kładą się na ramiona, jak płaszcz jaki długi.

Fiammetta

O wy, moje przeczucia... sny moje złowieszcze...
(ukrywa twarz w dłoniach).

(Drzwiami z lewej strony wchodzi Lucaniolo zamyślony, wzrok wbity w ziemię, idzie zwolna przez scenę i siada na fotelu pogrążony w myślach. Fiammetta na odgłos jego kroków szybko ociera oczy fartuszkiem, chwila milczenia).

Ascanio

(szeptem do Fiammetty)
A co, nie mówiłem? tęsknota go suszy.

Fiammetta

Zkądże wiesz?... inną troskę może mistrz mieć w duszy.

ten był możliwy tylko dzięki dodatkowemu asygnowaniu sum w ciągu owych czterech lat.

Gdyby nie obecna zwłoka, przybyłoby do nowego roku jeszcze 2,000 szkół, w których kilkadziesiąt tysięcy dzieci znalazłoby możność zapoznania się z abecadłem, w formie legalnej, nie zaliczonej do przestępstw... dynamitowych.

Gdzież był i co robił p. Kasso, minister oświaty podczas rozstrzygania tak ważnej sprawy? Owszem, był obecny na posiedzeniu Rady Państwa, zaś byli ministrowie oświaty; p. Kaufman i p. Szwartz przemawiali za przyśpieszeniem sprawy. Pierwszy żądał przyjęcia asygnowanego przez Dumę kredytu dodatkowego 10 mil. rb., drugi zaś dowodził, że projekt prawa w redakcji Dumy jest możliwszym do przyjęcia, niż propozycja komisji Rady Państwa; a p. Kasso, jak zaznacza *Ruskoje Słowo* — „zachował grobowe milczenie"... Miał jednak wielką moc argumentów przekonywających; miał cyfry pod ręką, które mogłyby zmiażdżyć wszystkich przeciwników rychłego asygnowania kredytu dodatkowego. Ale p. Kasso wolał zachować milczenie i wolał, ażeby jego poprzednicy zabierali tylko głos, pomimo, że ich głos miał właściwie charakter doradczy.

Zresztą... taka bagatela!.. Kilku tysiącom dzieci w dwu tysiącach projektowanych szkół nie dano możności zapoznania się z abecadłem. O dwa tysiące szkół będzie mniej w Rosji; o kilka tysięcy analfabetów więcej... co to znaczy wobec miljonów ciemnych?...

Za to p. minister oświaty ujawnia swoją energję i gorliwość tam, gdzie owe abecadło stało się kluczem, otwierającym wyższe przybytki wiedzy. Gdy chodzi np. o bezwględne usunięcie nieprawomyślnych lub o ograniczenie praw autonomji uniwersytetów. Wszakże o to były niedawno zaciekłe walki w Dumie.

Zresztą jest w tym silna konsekwencja: szkoły początkowe zabija milczenie i bezwład; szkoły wyższe — energja i czyn. W jednej i w drugiej formie polityki przewija się nić idei przewodniej: walki z „kramołą", której zarodki zawsze tkwią w abecadle. Wprawdzie trzecia Duma, która przecież w znacznej większości jest organem doradczo-wykonawczym biurokracji, przyszła do przedświadczenia, że nauczanie powszechne jest „koniecznością państwową", ale sfery biurokratyczne wraz w większością Izby wyszej, są przekonania, że ta konieczność nie jest znowu tak pilną a skoro już istnieje i sięga po prawo obywatelskie, to raczej stanowi *zło konieczne* niżeli *konieczność państwową.* Takie zło konieczne, skoro już jest pod postacią szkół istniejących, należy przynajmniej unieszkodliwić za pomocą stosowania różnych systemów wyjałowienia bakterji chorobotwórczych. Tym sposobem i nauczanie powszechne i szkolnictwo średnie i wyższe można będzie tolerować i unieszkodliwić, o ile się dadzą zastosować środki wyjałowiania. W jednym wypadku może być stosowany system specjalny pedagogiczny, o który tak zawzięcie walczyli reakcjoniści społeczni i biurokratyczni, a który wszelkie żywioły opozycyjne w Dumie i poza Dumą nazwały systemem policyjno-delatorskim. Nadto — w odpowiednich retortach specjalnie spreparowana wiedza uzupełni całość. W drugim wypadku może być wskazane stosowanie wyjaławiania szkół za pomocą pewnej klasyfikacji młodzieży na lojalną i nielojalną.

Systemy te, powiedzmy, są odwieczne i dobrze wypróbowane, ale w skutkach bardzo zawodne.

Oświata tedy będzie zawsze obosieczną i zawsze będzie sprawiała wiele kłopotu i niepokoju żywiołom reakcyjnym. To też dopóki te żywioły istnieć będą, póty trwać będzie, nieznana gdzieindziej w świecie cywilizowanym, walka z oświatą.

Zenon Pietkiewicz.

Paranoïa parańska.

Jestem bardzo zadowolony, że ks. Anusz w Nr. 23 *Prawdy* skrytykował mój artykuł „Wychodźtwo sezonowe", umieszczony w Nr. 11-ym *Prawdy.* Przyspiesza to moje wypowiedzenie się w kwestji parańskiej, na co zbieram się od dłuższego czasu.

Przedewszystkim ks. Anusz niezmiernie sobie ułatwił polemikę, twierdząc, że ja zalecam wychodźtwo sezonowe, bo „chłop przynosi pieniądze do kraju i przeważnie kupuje ziemię". Chodziło mi jeszcze o wiele innych rzeczy (zarówno w artykule, umieszczonym w Nr. 11-ym, jak i w artykule z Nr. 7-go, na który się w pierwszym powołuję), a mianowicie:

a) najemnicy sezonowi nie powinni lokować swoich oszczędności koniecznie i wyłącznie w ziemi, lecz w rozmaitych przedsiębiorstwach przemysłowych. Wiadomo, że dla kapitału zagranicznego Polska jest właśnie taką Paraną: niemiecka Łódź, francuskie Zagłębie, belgijska Kolej Wiedeńska i t. d., i t. d. Wiadomo, że wielki kapitał, umieszczony w wielkim przed-

---

A s c a n i o

Nie łudź się, dziecko...

(Lucaniolo wstaje, zatopiony w myślach idzie w głąb pracowni i staje przed olbrzymią bryłą, pokrytą płachtą, ujmuje rąbek pokrycia, jakby je chciał podnieść, waha się przez chwilę, i po krótkiej walce wypuszcza z dłoni płachtę i nie odsłaniając posągu, odwraca się i idzie znowu na dawne miejsce, ciężko siada na fotelu i pochyla głowę na dłoni. Podczas tej niemej gry Ascanio mówi do Fiammetty półgłosem:)

Patrzaj .. przed tą bryłą co dnia
Z chmurą ciężką na czole staje od tygodnia.
Nie wiem co chciał uwiecznić mistrz w tym nowym [dziele,
Gdyż dotąd gotowego jest jeszcze niewiele,
Zarys młodzieńca ledwie i kształt pochylony
Kobiety, której lice dał swej narzeczonej...
Lecz odkąd zerwał z dworem, poniechał tej bryły...
Snadź jednak dawne myśli znowu w nim odżyły.

F i a m m e t t a

(Załamuje ręce... potem szybko zbliża się do Lucaniola, lecz w pewnem oddaleniu od niego zatrzymuje się onieśmielona i mówi cicho).

Mistrzu!...

L u c a n i o l o

(budzi się z zamyślenia)

Co to?... ach, to ty?... czy ci czego trzeba?

F i a m m e t t a

Chciałam tylko zapytać, czy pozować będę.

L u c a n i o l o

Nie, dziecko, nie dziś... zresztą, niewiem... później [może...
Znużonym dziś i nieswój...

F i a m m e t t a

(smutnie)

Zatem pójdę sobie.

L u c a n i o l o

Nie, nie... nie odchodź dziecię... niech głos ludzki [słyszę...
Niech twój szczebiot na chwilę rozproszy tę ciszę.
Co jak całun spowiła wkoło samotnika.

siębiorstwie, przeważnie składa się z drobnych kapitalików, należących do bardzo wielu ludzi. I właśnie *dla dobra kraju*, t. j. dla jego rozwoju, który może iść tylko w kierunku wskazanym przez bardziej cywilizowane narody, jest pożądane, aby drobne włościańskie oszczędności przedewszystkim *były* w kraju, a następnie, aby je przynajmniej częściowo lokowano w przedsiębiorstwach przemysłowych i aby w ten sposób tracił swoje znaczenie analogiczny kapitał zagraniczny, który nigdy nie osiągnął by tego stopnia potęgi i ekspansji, jaką posiada, gdyby się nań składały tylko jednostki, nie zaś miljony ludzi.

b) najemnik sezonowy, po powrocie z Niemiec, Danji, Francji lub Szwajcarji, jest daleko sprytniejszy i sprawniejszy do pracy, niż poprzednio. Przejął się wyższą kulturą zachodnią, jej kultem intensywnej i celowej pracy i te cechy bardzo cenne na każdym stanowisku przywozi do kraju. Tego mi ks. Anusz nie wytłómaczy, aby cięcie dzikich puszcz i stykanie się z czerwonoskórymi kaboklami, wytwarzało doskonalszy typ ludzki, niż zapoznanie się z kulturą zachodnio-europejską. Oczywiście — gdyby nasi włościanie stali na poziomie Niamniamów albo Kaboklów, to zetknięcie się z Niemcami i z Francuzami byłoby dla nich zabójcze, lecz — ponieważ stoją na wyższym poziomie (czego nasi Paranofili zdają się nie rozumieć)— więc odnoszą ogromne korzyści umysłowe i kulturalne ze swoich wędrówek na Zachód; i te ich zalety nabyte wraz z nimi pozostają w kraju. Może być, że „nad Nidą i Szreniawą", t. j. w jakichś zapadłych kątach Kieleckich, włościanie stoją tak nizko, że nie podobna im zalecać innej pracy, niż cięcie puszczy, obsiewanie jej w najpierwotniejszy sposób i potykanie się z czerwonoskórymi; — no, ale tych stosunków z „nad Nidy i Szreniawy" nie można uogólniać na włościaństwo całego kraju.

c) Kupowanie ziemi także nie jest złe i nie może zasługiwać na potępienie. Ks. Anusz pisze, że włościanin, który ma pożyczkę bankową, pożyczkę w kasie gminnej lub wogóle pożyczkę, wyrabia w sobie duszę służalczą, ciągle zastrachaną przed wierzycielami. Zdaje mi się, że ks. Anusz właściwie obecnego pokolenia włościańskiego wcale nie zna. Oczywiście — w umysłach całkiem pierwotnych pojęcie „dług", może stać się jakąś zmorą, przytłaczającą wszystkie władze duszy. No — ale ja jeszcze raz powtarzam i stanowczo twierdzę, że dzisiejszy włościanin, a szczególniej taki, który był kilka sezonów na Zachodzie stoi znacznie wyżej od Kabokla, umie rachować (często— co prawda — nie znając arytmetyki) i nie rzuci się na kupno ziemi, o ile ma za mało pieniędzy lub wogóle o ile widzi, że się nie wyrobi: poprostu czeka, dopóki pieniędzy nie będzie miał dość. Najlepszym dowodem, że tak jest, są niesłychanie rzadkie wypadki bankructwa włościan, którzy nabyli za oszczędzone pieniądze ziemię. Zresztą — wiadomo — że drobna własność ma pewną przewagę nad wielką: warzywnictwo, ogrodownictwo, hodowla trzody i drobiu, osobisty dozór i t. d. Nie miejsce tu rozpatrywać tę kwestję. Trzeba szerzyć wiedzę fachową śród włościan, a nie wysyłać ich za morze. A z ogólnego punktu widzenia, nabywanie ziemi przez włościan ma ogromne znaczenie, a to dla tej prostej przyczyny, że nie przechodzi ona w ręce Niemców lub niespolszczonych żydów. Usuwanie się z ziemi dawnej feodalnej szlachty i przechodzenie jej w ręce włościan i zbogaconego mieszczaństwa — jest zjawiskiem powszechnym. U nas mieszczaństwo jest przeważnie cudzoziemskie, niechże ziemia przechodzi przynajmniej w polskie ręce włościańskie. Nie to mnie cieszy, że chłop drogo kupuje ziemię, lecz to, że ją wogóle kupuje. O to chodzi, bo jeżeli na ziemi zamiast polskiego włościaństwa, będziemy mieli „szlachtę" niemiecko-żydowską, to znów na jednym punkcie więcej schodzimy do roli parjasów we własnym kraju, który jest Paraną dla wszystkich, tylko nie dla nas samych. Bardzo jest wdzięczne zadanie kolonizować nowe kraje Anglikami, Niemcami, Czechami nawet, bo oni już doskonale skolonizowali swoje kraje macierzyste, t. j. powytwarzali sobie jednolite terytorja etnograficzne od góry do dołu. U nas jest inaczej. My mamy przemysł przeważnie niemiecko-francuski, handel przeważnie żydowski (żydami nie nazywam nielicznych Polaków wyznania mojżeszowego) i rolnictwo zagrożone inwazją niemiecko-żydowską. Rodzi się zamożne włościaństwo, które może zasilić polskość w Polsce, i wy materjał na to zamożne włościaństwo wywozicie do Brazylji! Czy mamy być drugimi żydami, rozwleczonymi po całym świecie i nigdzie nie mającymi swojego kraju?

d) Wychodźtwo sezonowe w krótkim czasie — przynajmniej podwoiło płacę zarobną w kraju, wskutek zmniejszonej podaży rąk. Zrobiło ono więcej w najemnictwie rolnym, niż strejki i akcja zawodowa

---

Ascanio

Bo też smutno tu u nas i cicho jak w grobie.
Aż mróż chodzi po kościach, aż jęk mię przenika,
Gdy o zmroku przez puste przechodzę komnaty...
Hej, inaczej to ongi bywało zakaty,
Dworno, jasno, wesoło... dzień nie minął żaden,
By dworzan i magnatów przebogate roje
Z hukiem i brzękiem w nasze nie parły podwoje...
Żarzyły się świeczniki, krążyły puhary...
A teraz..

Lucaniolo

Dość, Ascanio....

Fiammetta

Może coć zaśpiewać?.

Lucaniolo

Dobrze... zaśpiewaj dziecię... może dźwięk gitary
Odżegna mi natrętne dawnych czasów mary...
Albo nie, baśń mi powiedz, lub jaką balladę
Rybacką...

Fiammetta

Dobrze... powiem rybacką balladę.

(siada na podnóżku u stóp mistrza i po chwili milczenia mówi)

Stara bardzo ballada... w ciche odwieczerze
Babka mię jej uczyła cerując więcierze...

BALLADA

Szumi a szumi morze,
Ponurą pieśń zawodzi,
To w bujnych tęsknot szale
W bezkreśną dal uchodzi,
To znów na brzeg w pokorze
Jedwabne kładzie fale...
Na brzegu dziewczę blade
Wyciąga nić węcierzy,
Dal tęsknem okiem mierzy
I z cicha przesmutną taką nuci balladę.
„O włosy, złote włosy,
O czary rusałczane...
Tęsknota mię pożera,

Lucaniolo

(powtarza półgłosem)

O włosy, złote włosy, tęsknota mię pożera ..

Fiammetta

Pożera mię tęsknota,

w najemnictwie przemysłowym, a jednocześnie dało bodźca właścicielom ziemskim do zakładania takich niesłychanie pożytecznych instytucji, jak np. stowarzyszenie emerytalne.

Słowem—wychodźtwo sezonowe nie jest żadnym tworzeniem głodomorów małorolnych na miejsce bankrutującej szlachty, jak mniema ks. Anusz, lecz jest tworzeniem zamożnege włościaństwa, tworzeniem ogromnych kapitałów złożonych z drobnych kapitalistów, jest podnoszeniem kulturalnym włościaństwa, podnoszeniem wartości płacy zarobkowej na roli; — wreszcie jest tamą przeciwko zalewowi kapitałów i kapitalistów cudzoziemskich. Tamy tej tym bardziej potrzebujemy, że chcąc być narodem współczesnym,-musimy być narodem mającym wszystkie klasy społeczne i jednolite terytorjum etnograficzne.

A teraz — przejdźmy do samej Parany. Zdaje mi się, że ks. Anusz i nasi miejscowi paranofile (których jest znacznie więcej, niżby się zdawało) zapatrują się różowymi szkiełkami na przedmiot swojego uwielbienia. Niedawno warszawskie towarzystwo opieki nad wychodźcami, na czele którego stoi zwolennik Parany p. Szukiewicz, uznało jednak za konieczne ogłosić komunikat. Czytałem go w *Gazecie Kujawskiej*. Otóż w komunikacie tym powiedziano, że urzędnicy brazylijscy są leniwi i że trzeba czekać miesiącami na swoją działkę ziemi, że dla polskich kolonistów przeznaczają bardzo często kolonje odległe, gdzie nie można nic produkować, gdyż nie mają one żadnej komunikacji, że gwałtowna agitacja robiona na rzecz Parany zrujnowała wielu włościan, który tu posprzedawali swoją ziemię,a tam ich nie wpuszczą, gdyż nie mogli się zabrać na przepełniony odchodzący statek.

W artykule, umieszczonym w Nr. 11 *Prawdy*, dowiodłem (i ks. Anusz tego nie kwestjonuje), że Parana nie jest żadnym ujściem dla nędzy, lecz może być najwyżej drenowaniem elity proletarjatu rolnego, która i w Europie da sobie doskonale radę. Pokazuje się teraz, że nawet tak nie jest. Do Parany jadą zamożni włościanie, i — aby pojechać — rujnują się.

Mam wszelkie dane do przypuszczenia, że właśnie emigruje ten rodzaj ludzi, który ma najmniej kwalifikacji do wychodźtwa. To samo było podczas pierwszej gorączki brazylijskiej i złotych snów ludowych, które wywołała.

Wreszcie — spójrzmy objektywnie na tę utopję patryjotyczną tworzenia polskiego Sjonu pod biegunem południowym, która — ostatecznie leży na dnie wszystkiego. W broszurce „Prawda o Paranie", p. Pankiewicz pisze, że szkoły rządowe, nawet początkowe, mają w Brazylji język wykładowy *portugalski*, że można wprawdzie zakładać polskie szkoły gminne (municypalne), ale na to trzeba większości polskiej w gminie, a takiej gminy dotąd w Paranie niema... Czy aż do Parany trzeba jechać, aby w szkole *prywatnej* uczyć się po — polsku? Dalej — polacy nie są bynajmniej jedynymi kolonistami w Paranie! obok nich są Niemcy, Rusini i Włosi. Kolonje, z których ucieckną Niemcy, są podobno najlepsze dla Polaków (tak twierdzi przynajmniej komunikat T-wa Opieki nad wychodźcami). Oczywista rzecz, że językiem porozumiewawczym dla tych wszystkich narodowości będzie portugalski, wykładany w szkołach rządowóch. Zachodzi pytanie, czy rząd brazylijski, dowolnie kierujący emigracją przez dawanie bezpłatnych przejazdów i przez rozmieszczanie emigrantów na miejscu, nie chce sobie utworzyć takiego melanżu narodowościowego, aby nigdzie żadna nie miała zdecydowanej większości i aby wszystkie były zniewolone prędzej, czy później przyjąć język portugalski? Czy rząd brazylijski, który swoją drogą musi wykarczować swoje puszcze, do czego mu potrzeba naturalnie ludzi prostych, mocnych i zawziętych, otóż czy rząd brazylijski nie drwi sobie w duszy z polskich planów sjonistycznych i czy my, przeprowadzając je, nie tracimy jeszcze i tych resztek Polski, jakie mamy pod nogami i które — jak widzimy — są wcale niezłą Paraną dla innych?

Jerzy Kurnatowski.

Literatura niemoralna a mistrzowie cnoty.

II.

Pareto, jako ekonomista, wskazuje cały szereg zjawisk w życiu społecznym i gospodarczym, znamionujących ubytek wolności. Ochrona celna wszędy bierze znowu górę, przeistaczając się stopniowo w dawne systemy protekcjonizmu. Wolna wymiana, która

---

Sieć zmudną co dnia plączę,
Przeznaczeń pytam blada,
Nić się za nicią mota,
I dni uchodzą rącze...
Morze nie odpowiada.
Snuję swą nić w pokorze,
Szumi a szumi fala,
Z łoskotem się przewala...
Daremnie skarg moich żagle rzucam na wód prze-
[stworze...
O włosy, złote włosy,
O czary rusałczane...
Kiedyż się los mój spełni?

Spełniły się snadź losy...
Raz w ciche odwieczerze
Igraszka fal zwodnicza
Rzuciła na wybrzeże
Kształt cudny płowowłosy
Młodego królewicza.
Martwy, czy śni, niewiada,
Twarz niby giezło blada,
Świetlica ócz zamknięta,
A pierś i dłonie mu dziwny snur pozłocisty pęta.
O włosy, złote włosy,
O czary rusałczane...
Zali się sen mój wyśnił?...

Wyśniły się sny moje...
Całuje moje lice
— Zakwitły na nich zorze...
Całuje ócz świetlice
— Rozwarły się błękity...
I tylko serca zgoła
Rozbudzić w nim nie zdoła,
Bo serce mu w pętach trzyma sznur z włosów złotych
[zwity.
O włosy, złote włosy,
O czary rusałczane...
Kochanie twe daremne.

C. D. N.

już ostatecznie zdała się zakorzenioną w Anglji, w ostatnich czasach uległa tam zakwestjonowaniu, i być może, iż dni jej w tym kraju, ostatnim jej schronisku, zostały policzone. Wewnątrz państw, wytwórstwo i handel, coraz wyłączniej przechodzą w ręce monopolu trustów, karteli, syndykatów. Ceny monopolowe zastępują tedy miejsce cen regulowanych przez współzawodnictwo; te ostatnie, wyparte z handlu międzynarodowego, znikają też i w handlu wewnętrznym.

Wzrastające ciągle potrzeby skarbu ze swej stony powodują coraz nowe ograniczenia swobody indywidualnej. Ponieważ wszystko zostało opodatkowane, przeto wszystko podlegać musi reglamentacji. Wygórowane podatki skłaniają do nadużyć: stąd konieczność środków zapobiegawczych, aby uniemożliwić ludności ukrywanie przedmiotów podlegających opłatom skarbowym.

Higiena posłużyła także za pretekst do licznych okrojeń pola wolności. Część owych okrojeń ma wyraźne korzyści ekonomiczne na celu, zaledwo pretekstem higienicznym osłonięte. W pewnych np. krajach rządy prześladują sacharynę — jedynie, aby umożliwić wytwórcom cukru robienie kolosalnych fortun; Niemcy wymagają, aby z każdej posyłki butelkowanego wina, komora pobierała na granicy dwie butelki, które w następstwie pp. biegli wypijają za zdrowie spożywców. Szwajcarja odkryła, że szafran którym Włosi przyprawiają swe potrawy, szkodliwy jest dla zdrowia. We wszystkich krajach bydło, importowane na granicy, uchodzi za bardzo pod względem higjeny niebezpieczne. W stronach obfitujących w winogrady, wino wyrabiane z jagód suszonych stanowczo źle oddziaływa na zdrowie. Prześladuje się tam alkohol, ale błogosławi — wino.

Doniosłość tych faktów leży nie w nich samych, ale w płynącej z nich wzkazówce ogólnej co do prądu, jaki zdaje się brać górę ostatnio.

Jeśli teraz ogarniemy okiem dziedzinę literatury, dziedzinę, której istotę stanowi właśnie twórcza, niekrępowana niczym wolność duchowa, to tu kontrast między postulatami rozwoju tej dziedziny a rzeczywistymi jej warunkami uderzy nas z osobliwą mocą.

Na początku wszakże dokonać musimy pewnego rozróżnienia.

Zakazy, ograniczające wolność literatury, wahają się między dwoma skrajnymi postanowieniami, w zależności od tego, czy bierze się pod uwagę: 1) treść utworów literackich, czy też: 2) sposób ich rozpowszechniania.

1) Jeżeli ocenie podlega sama treść utworów, wtedy prawozdawca z konieczności wziąć musi udział *rzeczowy* w rozbiorze owej treści. Ustala się pewną d o k t r y n ę p r a w o m y ś l n ą, której podawać w wątpliwość nie wolno; jedynie poza obrębem tej doktryny mogą się toczyć rozprawy.

W ten sposób np., państwo katolickie nie dopuści do zakwestjonowania religji katolickiej; państwo chrześcjańskie nie pozwoli atakować religji chrześcjańskiej, pozostawiając zresztą swym poddanym swobodę rozprawiania o wartości różnych odłamów tej religji. Państwo monarchiczne zabroni dyskutowania o wartości monarchji, lub pewnej normy rządów monarchicznych; państwo republikańskie nie pozwoli kwestjonować republiki. Jeszcze niedawno temu, wszystkie niemal rządy nie pozwalały obrażać, w słowie pisanym, „zasad podstawowych rodziny i społeczeństwa". Podobnież w sprawie obyczajów; istnieje pewna doktryna prawomyślna, której ruszać nie wolno, pewne urzędowe *tabu*, wyjęte z pod krytyki.

Przedstawiliśmy zjawisko tak, jak ono wygląda faktycznie; słuszną atoli uwagę czyni Pareto, że w świadomości ludzkiej zazwyczaj odbije się ono nieco inaczej. Powszechnie dzieje się tak, iż wyznawcy pewnej doktryny, stawiają doktrynę swą bezwzględnie wyżej po nad wszelkie inne; dla nich — wybór, którego mocą rząd uznaje jakąś doktrynę za prawomyślną, nie jest bynajmniej aktem dowolnym. Według nich, wybór taki był konieczny, jedynie dopuszczalny dla każdego rządu, który chce być uczciwym. Niekiedy argument ów występuje w zmienionej postaci: doktrynę panującą przedstawia się jako pogląd ludzi uczciwych; zaczym ten, kto jej nie podziela, nie należy do ludzi uczciwych, a więc na żadne względy nie zasługuje, i rząd winien wymierzyć mu karę.

Doktryna powyższa, w stosuku do religji katolickiej, w ciągu średniewiecza panowała na terenie wszystkich państw katolickich; kiedy się wszczęła Reformacja, podbijając wiele krajów, musiano także zmienić doktrynę. Tam, gdzie protestanci stali się wyłącznymi panami, zmiana polegała jedynie na zastąpieniu starej doktryny obowiązkowej przez nową: katolicy narzucali religję katolicką, protestanci — protestancką. Gdyby katolicy byli zdołali pochwycić Kalwina, spaliliby go z pewnością na stosie; Kalwin, pochwyciwszy Serveta, spalił go bez wahania.

Tam zaś, gdzie ludność wypadła mieszana, składając się po części z katolików, po części z protestantów, zaszła potrzeba nieodwołalna wynalezienia jakiegoś środka, któryby dał im możność pokojowego pożycia. Zrazu ewolucja poszła w kierunku dalszej jeszcze zmiany doktryny prawomyślnej, która naówczas została zredukowana do pierwiastków wspólnych religji katolickiej i protestanckiej. Skoro jednak liczba sekt protestanckich pomnażała się ustawicznie, i wolnomyśliciele jęli zdobywać prawo obywatelstwa, państwo wśród tysięcy różnic i odcieni przekonaniowych straciła nakoniec z oczu właściwą doktrynę prawomyślną, którąby mogło narzucać wszystkim poddanym; wówczas to, wstępując na drogę koniecznej tolerancji, która okazała się zarazem swiatłą drogą kultury i postępu, państwo wydźwignęło, jako hasło powszechnego pojednania wtórą zasadę rozstrzygania sporów religijnych i obyczajowych, oznaczaną przez nas wyżej pod (2). Zasada ta pomijająca treść idej, a zważająca jedynie na tryby ich rozpowszechniania, stała się jednocześnie hasłem rozbrojenia krwawych wojen i zatargów wyznaniowych w Europie.

W. Rzymowski.

Ze wspomnień o Lelewelu.

A vingt ans, un Polonois ne doit pas être un autre homme; il doit être un Polonois.

Je veux qu'en apprenant à lire il lise des choses de son pays; qu'a dix ans il en connoisse toutes les productions, a douze toutes provinces, toutes les villes; qu'à quinze il en sache toute l'histoire, à seize toutes les lois; qu'il n'y ait pas en dans toute la Pologne une belle action ni un homme illustre, dont il n'ait la memoire et le coeur pleins, et dont il ne puisse rendre compte à l'instant.

J. J. Rousseau: „*Considération sur le gouvernement de la Pologne*" str. 335.

Joachim Lelewel urodził się w Warszawie dnia 21 marca 1786. Dziad jego Henryk Lelewel emigrował do Polski z Prus i po ukończeniu wydziału filozoficznego udał się do Leyden — gdzie otrzymał stopień doktora medycyny. Syn Henryka — Karol Lelewel odebrawszy wyższe wykształcenie w uniwersytecie w Getyndze — został kierownikiem komisji oświaty publicznej.

Będąc człowiekiem wielkiego serca i prawego charakteru — ubolewał nad losami kraju pod rządami Stanisława Augusta.

Po trzecim rozbiorze Polski, K. Lelewel usunął się od prac publicznych na łono rodziny i gorliwie

się zajął wychowaniem swych dzieci. Później w roku 1815, gdy powstała Polska Kongresowa — znowu oddał się życiu społecznemu i został mianowany radcą komisji obyczajowej i oświaty publicznej.

Po 40-tu latach służby zachorował i umarł 29 listopada 1830 r. w chwili gdy wybuchło powstanie listopadowe.

Joachim Lelewel, syn Karola w roku 1801 wstąpił do kolegjum Pijarów w Warszawie, następnie kształcił się w Uniw. Wileńskim, gdzie z ogromnym zamiłowaniem studjował historję powszechną pod kierownictwem prof. F. Hussarzewskiego, literaturę zaś grecką i romańską u prof Ernesta Groddecka.

Doktoryzował się na uniw. Krakowskim i tu otrzymał stopień doktora filozofji. T. Czacki, ceniąc uzdolnienia pedagogiczne młodego doktora, zaproponował mu katedrę w starszych klasach gimnazjum Krzemienieckiego, którą też Lelewel objął.

Wkrótce Lelewel wraca do Wilna, ażeby tam na nowo oddać się pracom historycznym. Po upływie dwóch lat w r. 1811-ym wstępuje do biura ministerjum spraw wewnętrznych, ale pozostaje tam bardzo krótko. Już w 1816 roku ukazuje się dziełko Lelewela „O Mateuszu herbu Cholewa", następnie w 1816 i 1817 w *Tygodniku Wileńskim* praca pod tytułem „O stanie oświecenia w Polsce przed wprowadzeniem druku" — zawierająca bardzo wiele ciekawych szczegółów dotyczących wprowadzenia oświaty w Polsce.

Gdy w uniw. Wileńskim zawakowała katedra historji — opinja publiczna wypowiedziała się za Lelewelem.

Robiono starania, by na rzeczoną katedrę wprowadzić młodego doktora, ale wszystkie wysiłki, rozbijały się o niechęć rektora J. Śniadeckiego, który był nieprzychylnym Lelewelowi.

„Purysta języka" — jak go nazywa M. Mochnacki — nie mógł darować Lelewelowi — chropowatej w owej porze, szorstkiej, siekanej nieraz nawet i zapstrzonej polszczyzny". Wtedy właśnie ofiarowano Lelewelowi miejsce bibliotekarza przy bibliotece publicznej w Warszawie. Tu wkrótce rozpoczął w uniw. swoje wykłady historji wieków średnich. Na wykładach, przez nikogo prawie dotąd nie uczęszczanych, zaczynają zbierać się tłumy ciekawych słuchaczy.

Jasność wykładu, śliczna wymowa — zdobywają mu wielki rozgłos i sławę w całym kraju. [2]) Studenci, profesorowie, publiczność wileńska coraz bardziej żałowali poniesionej straty, a J. Śniadecki znosił przykre wymówki.

Na konkursie Uniw. Wileńskiego w 1821 roku na temat „O sposobie nauczania historji i o jej związku z innymi gałęziami wiedzy" — rozprawę Lelewela uwieńczono, a jego samego zaproszono do Wilna na katedrę historji. Oto jaki portret Lelewela daje z tego okresu M. Mochnacki: „Lice blade, zapadłe, głowa cokolwiek pochylona oznaczały antykwarjusza a poetę blask w oku żywym, przenikliwym, podnoszącym charakter tej ujmującej, melancholicznej fizjognomji. Że był poetą rzecz niewątpliwa, bo miewał czasem natchnienia w widzeniu bardzo odległych przedmiotów, choć zresztą może i tego nie znał do siebie, jak wszelki gienialny duch będący zagadką samemu sobie".

Jednocześnie z Lelewelem objął katedrę filozofji Gołuchowski, bardzo przez młodzież lubiany. Należy pamiętać że „wydział moralny" był ściśle związany z wydziałem literackim i że obaj profesorowie tak Lelewel jak Gołuchowski wywierali ogromny wpływ na liczną młodzież filarecką grupującą się koło Zana, Mickiewicza, Czeczota i wielu innych. Po słynnym procesie filaretów, który prowadził Nowosilcow, ukazem z dnia 14 września 1825 roku złożono z urzędu Lelewela i wydalono go z Litwy. Lelewel wyjechał do Warszawy. Wypadki lat 1826—1830 nie zastały Lelewela tylko obojętnym świadkiem.

Na posiedzeniu w ratuszu Lelewela jednogłośnie obrano prezesem klubu rewolucyjnego.

Gdy później wysłano delegację do Wierzbna widzimy i tam Lelewela. — Tymczasem działalność jego w „Radzie" jest niezmiernie skrępowaną Sytuacja w jaką postawiło Lelewela wybranie na prezesa „klubu rewolucyjnego" stwarzała w duszy jego rozdwojenie: będąc w radzie musiał zwalczać ją nieraz, jako obrońca interesów ludu. Oprócz politycznej, spełnia Lelewel wielką pracę społeczną podczas powstania.

Dyktator Chłopicki mianuje Lelewela ministrem oświaty. Na stanowisku ministra Lelewel znosi ograniczenia dla żydów, otwiera im wstęp do uniwersytetów. Ociąganie się i kunktatorstwo dyktatora Lelewel ostro krytykował. Za publiczną krytykę w prasie Chłopicki kazał go uwięzić 11 stycznia 1831 r.

* * *

Po upadku powstania Lelewel udał się do Prus— ale ze względu na trudności policyjne musiał stąd wyjechać do Francji. Z niezrównanym zapałem imał się znowu pracy naukowej. Najwięcej pracował wtedy nad numizmatyką i historją. Warunki jednak mu nie sprzyjały. Atmosfera emigrancka nie uspasabiała do pracy gabinetowej. Rząd francuski nieprzyjaznym okiem spozierał na Lelewela, który już zdążył był nawiązać obszerne stosunki wpośród Francuzów. 1 stycznia 1834 roku M. Tiers, uważając, że obecność Lelewela stanowi pewne niebezpieczeństwo dla państwa, nakazał mu opuścić Paryż.

Lelewel udał się do przyjaciela swego Legrange-Lafayette'a i tam, korzystając z jego bogatych zbiorów kontynuował swe studja nad monetami gallijskimi. Ale 3-go sierpnia nagle aresztowano go i pod eskortą żandarmów odstawiono do Tours. Tu zakomunikowano mu rozkaz wydalenia z granic Francji. Lelewel wyjechał do Belgji. Podróż przez całą Francję była dla niego jakoby drogą tryumfalną.

Wszędzie gdzie byli polacy witano go owacyjnie i z wielkim entuzjazmem. Ostatni okres swego burzliwego życia spędził w Brukseli. Pracując nad siłę cierpiał nieraz nędzę — jednak nie zgodził się przyjąć od swego przyjaciela, hr. de Merode'a, stałej zapomogi przez rząd belgijski mu zaofiarowanej. W mieszkaniu Lelewela, składającem się się z dwóch pokoi pierwszego piętra (nie była to więc bynamniej mansarda) odwiedzali go nieraz wybitniejsi przedstawiciele emigracji polskiej i kierownicy ruchów zachodniej Eurepy. Uznanie jakie zdobył Lelewel w świecie naukowym otworzyło mu dostęp do zbiorów prywatnych, przysyłano mu je do domu, szukano sposobności zapoznania się. Codziennie na ulicach Brukseli widziano tę zgiętą wiekiem postać. Ubrany w niebieską bluzę robotniczą, zwracał na siebie uwagę gapiów ulicznych, ale z oczu jego biła taka duma, tyle smutku było w wyrazie twarzy, że nikt nie pozwolił sobie śmiać się lub drwić z tej dziwnej postaci

Mieszkańcy Brukseli polubili ogromnie tego wielkiego wygnańca. Po paru latach Lelewel został mianowany profesorem uniwersytetu *Wolnego*, a za pracę jego w dziedzinie mimizmatyki Królewskie Stowarz. numizmatów belgijskich obrało go honorowym swoim prezesem.

Na cześć jego wybito medal z napisem — „Les numismates belges a leur illustre mâitre J. Lelewel né à Varsovie en 1786". Drugi medal za życia Lelewela wybito na jego cześć tej treści: „Inter eruditissimos orbis terrarum principi".

W gabinecie rycin i grawiur przy Bibljotece Królewskiej w Brukseli, przechował się do dziś dnia jeden z tych medaljonów.

[2]) M. Mochnacki t. II str. 71.

Niepodobna wyliczyć tutaj wszystkich prac naukowych, jakie napisał Lelewel. Każdy chętny może je znaleść wymienione w dziełku Leonarda Chodźki pod tytułem — Notice biographique sur J. Lelewel. W Brukseli napisał Lelewel swoje monumentalne dzieło „Geografja wieków średnich". Dzieło to nie doczekało się dotąd przekładu na język polski. Nadmierna praca w niepomyślnych warunkach wyczerpała siły Lelewela. Przyjaciele jego starali się o przeniesienie go do wygodniejszego mieszkania lub do domu zdrowia, lecz Lelewel nie chciał nawet słyszeć o tem Ukochawszy swe książki, zbiory i notatki — nie chciał rozstać z niemi ani chwilę. Nareszcie dr. Gałęzowski i Jamiszkiewicz namówili go na wyjazd do Paryża i wkrótce, nie porozumiawszy się ze stałym lekarzem Lelewela doktorem Uytterhoeren'em, nie uwiadamiając znajomych chorego, jego blizkich i przyjaciół, prawie chyłkiem wywieźli go do Paryża zabrawszy zbiory jego i notatki: 29 maja o 7-ej rano w lecznicy Dubois w Paryżu skonał ten genjalny człowiek. Pochowano go na Monmartre — gdzie do dziś dnia stoi ubogi pomnik, Lelewelowi i kilku rodakom zmarłym na wygnaniu poświęcony.

„Przez wywiezienie Lelewela zrobiono Belgji dużą krzywdę" — mówi w swej biografji o Lelewelu przyjaciel jego prof. Wauters.

„Wydarto go nam, zabrano jego zbiory, książki, notatki — które dla nas byłyby świętością narodową". Wywiezienie to wywołało protest w prasie belgijskiej.

Pogrzeb Lelewela zebrał całą polską emigrację. Na grobem wygłoszono kilka gorących przemówień. Wzniosłą mowę wygłosił w imieniu żydów rabin paryski. Delegat od robotników też przemawiał nad grobem wielkiego demokraty.

* * *

Dn. 7 czerwca 1862 odbył się w Brukseli obchód na cześć zgasłego historyka. W obchodzie tym wzięły udział liczne instytucje naukowe, wybitne jednostki polityczne Belgji oraz tłumy ludu. Nad domem gdzie mieszkał Lelewel przy ulicy des Epperoniers (Ostrogarzy) zawieszono tablicę tej treści:

Joachimus Lelewel Polonus,
Nuper nobis ereptus
Longo exilio invictus.
Sub umbra libertatis Belgarum
Hanc aediculam Adfirmandam—
patriae virtutem.
Multos per annos, Satis amplam
sibi judicabat. Hanc tabulam
ad aeternam rei memoriam
Cives Poloni dolentes posuere
MDCCCLXII.

Edmund Nowolski.

KRYTYKA.

Wacław Grubiński: **Moc Kamienna** — nowele (Spółka nakładowa „Książka").

Grubiński należy do najmłodszego pokolenia nowelistów polskich. Na jego twórczości odbiły się wyraźnie idee o sztuce, jakie wnieśli do nas Miriam i Przybyszewski. Nie chodzi tu o wpływ ani naśladownictwo, gdyż Grubiński jest samodzielny i nikogo nie przypomina, lecz o wyzwolenie sztuki od ciężaru bezpośredniej służby społecznej w postaci nieustannej troski o trafianie do przekonań, moralizaorstwa, tendencji, ciążącej nad utworem literackim i przytłaczającej go swym brzemieniem. Sztuka Grubińskiego wolna jest do zagadnień z zakresu socjologji lub ekonomji społecznej. Jego zadanie jest takie: upojeniu, jakim napawa go życie, dawać formę artystyczną. Aby odpowiedzieć temu zadaniu należy mieć mocne sumienie, to jest pewnego rodzaju moralną odwagę przystępowania do każdego objawu życia bez podejrzeń, że tu właśnie czycha grzeszna pokusa, że oto pora już zrobić minę zgorszoną, zamilknąć, uczynić gest oburzenia lub zadąć do odwrotu. Należy się tu pozbyć owej gęsiej skórki i drętwienia na widok wszelkiego pogaństwa w życiu — słowem, należy raz na zawsze przestać się bać samego siebie i swych ponętnych, zgubnych zamiłowań. W Grubińskim jest to mocne sumienie, a nawet więcej — zapalczywa potrzeba jakby wyzywania, rzucania rękawicy ustalonym zewnętrznie normom, niecierpliwienia ludzi, rutynicznie logicznych i rutynicznie cnotliwych. W nim, jak w kilku innych pisarzach współczesnych — upodobanie do przepychu życia, jego zagadek, wirów i omanów przeważa nad poczuciem winy, kary i pokuty. Co go wyróżnia dodatnio z pośród innych, to przedewszzystkim nieustanna troska o styl, zamiłowanie stylu i przytym — rzec trzeba — dobry smak w stylu! W trzech większych utworach, które składają się na tom „Mocy Kamiennej" jest dużo ustępów, do których wraca się z zadowoleniem, rzekłbym nawet — z tęsknotą. Może trzeba samemu pisać, aby zrozumieć, ile głębokiej przyjemności można doznać, czytając np. opis pokoju, w którym leży chory — opis, dzięki któremu doznaje sie wrażenia, że coś *cennego* z życia otaczających nas przedmiotów zabieramy na swą własność. Tego rodzaju styl troskliwy a umiejętny rozszerza zakres życia poza obręb zwyczajnie odczuwalny, jakby od niechcenia niszczy przesąd o martwej naturze, dając pojąć i odczuć życie *rzeczy*. Pod względem troskliwości o styl, by ten wyrażał pełnię choćby najdrobniejszych mgławic przeżywania, by nic nie ginęło nie z woli pisarza, lecz skutkiem nieudolności słowa, jest Grubiński autorem niezmiernie sumiennym, a przytym nie szuka efektów krzykliwych. Jego opis bijącego godzinę zegara wieżowego (w noweli „Moc Kamienna"), jego umyślne powtarzanie niektórych ustępów w „Dajmonion-Bib", niby powrotnych akordów muzycznych, powtarzanie, które nie jest ani sztuczne, ani pretensjonalne, ani nużące, świadczy o mocnym opanowaniu techniki nowelistycznej.

Pojmując zadanie Grubińskiego jako dawanie ujścia upojeniu życiem za pomocą stylu — to jest zaznaczając, że dla Grubińskiego słowo jest tym umiłowanym elementem, co dla urodzonego malarza — barwa — stwierdzić z kolei wypada, że autor „Mocy Kamiennej" w swym tomie stawia sobie trudne w znaczeniu literackim zadania.

Najłatwiejsze może miał w noweli pierwszej „Dajmonion-Bib". Chodziło tu bowiem ostatecznie o to, że zwierzę — pies budzi w młodej kobiecie — pozostałej po świeżo zgasłym starcu wdowie — uczucie nagle wezbranej litości, w obec której ustępuje cierpka niechęć, że ten właśnie wstrętny nienawistny człowiek tyle lat kalał ją i wysysał jej młode życie. W drugiej noweli „Jerzy" miał autor zadanie trudniejsze. Trzeba było dzięki drobiazgowej analizie uczynić *prawdziwą*, historję nadzwyczajnie *nieprawdopodobną*: jak to pewnego młodzika Jerzego ogarnęła dziwna burza psychiczna, jak zmogło go rozpętanie nagłe żywiołów, jak ten młody chłopiec, nasyciwszy się rozkoszą płciową, z kolei staje się mordercą i samobójcą. Przytym Grubiński, opracowując ten temat niebezpieczny, gardzi wszelkim usprawiedliwianiem niezwykłego wypadku czynnikami tego rodzaju, co np. dziedziczna skłonność w rodzie do obłąkania lub zbrodni. Nie, Jerzy jest zwykłym niezłym chłopcem, a jego wybuch fatalny jest wyzwoleniem nagle rozpę-

tanej siły, nawałnicą, która go unosi i rzuca w noc wiekuistą, poza życie, tajemnicą, którą autor opisuje, lecz jej nie tłumaczy. To poszanowanie jednostki, która *może* być do innych niepodobną, która w swym zawiłym życiu wewnętrznym nie da się wtłoczyć w żadną dotychczas dostatecznie znaną kategorję i wytłumaczyć szeregiem „dlatego", jest cennym dowodem śmiałości zamiarów artystycznych autora „Mocy Kamiennej".

To samo traktowanie jednostki, jako przejawu *jedynego*, niedającego się znów tak łatwo porównywać i tłumaczyć przykładami z życia innych ludzi — a więc również historja nieprawdopodobna, która ma się stać prawdziwą dopiero dzięki przedstawieniu jej przez autora, przeziera z ostatniej noweli Grubińskiego, „Moc Kamienna" — historji mężczyzny, któremu pęka serce, gdy po zbyt długim czekaniu zjawia się ukochana. Jakże dziwnie, niemal szyderczo brzmi ten temat! Pod piórem autora nieprawdopodobieństwo ginie w fali uniesienia, graniczącego z szałem!

Wśród tych niebezpiecznych, zuchwałych tematów Grubiński zmaga się, łamie i zwycięża nieraz tam, gdzie każde nieumiejętne stąpienie grozi niechybnym runięciem. Nie zwycięża na całej linji. Nie zawsze wrażenie, jakie się odbiera, jest nieodparcie mocne, jedyne i konieczne. Lecz tom cały świadczy, że młody autor wyrąbuje sobie drogę do otwartych przestrzeni, omijając wzgardliwie zaułki ustalonych banalności.

Leon Choromański.

Zygmunt Różycki: **Wybór Poezji.** Warszawa, 1911.

Wybór poezji Różyckiego obejmuje całą jego poetycką twórczość i daje już zdecydowane pojęcie o indywidualności poety. Tetmajer, pisząc przedmowę, zamieścił w niej tyle panegirycznego entuzjazmu, że niepodobna nic dobrego powiedzieć o książkę, gdyż najwyższa pochwała będzie się wydawała przy nastroju przedmowy zapaloną świecą przy księżycu. Lecz trudno! Nie jestem w możności zataić, że nie wszystkie wiersze Różyckiego, wydają mi się tak pierwszorzędnej wartości i nie wszystkie zalety jego podkreślane w przedmowie, zaletami, o których można mówić z zadowoleniem.

Przedewszystkim, trudno mi jest się zgodzić, aby „miękkość kobieca" i „coś z dziecka" były walorami tak pierwszorzędnego gatunku. Ci, którzy czytują poezję rymowaną nabierają przekonania, że w każdym szczerym poecie, jak w każdym artyście istnieje jakieś dziecinne niedorostwo, jakiś cień naiwności, brak zmysłu orjentacyjnego w życiu i ta pewna, znamienna ignorancja warunków, które każą pamiętać o ustawicznej walce o byt. Lecz to rzecz zwykła!

Szczery artysta przebywający często wyobraźnią daleko od pospolitości, nie jest w możności tak jak pierwszy lepszy mieszczuch uzbroić się w praktyczność i walory powszedniego życia ważyć i mierzyć skrupulatnie. Ale to nie dowód, aby tę słabość i niedołęstwo — spotęgowane tysiąckrotnie, brać za punkt wyjścia dla pochwał, za coś takiego, czego należy zazdrościć i co należy naśladować. Och nie i nigdy! „Smutek i tęsknota za czyimś *ciepłym słowem*" i to: „ tak bym chciał, aby mnie *wszyscy kochali*", słowa które tak bardzo się Tetmajerowi podobają, czyż to nie oczywisty dowód kobiecej słabości i dziecinnej bezrady?...

Bo jeżeli nie są zwykłą literaturą, to ta żebranina miłości u ludzi, którzy nigdy nie będą w możności odczuć i zrozumieć prawdziwego poetę, jest ubóstwem duchowym, małością natchnienia, które nie potrafi wznieść się tak wysoko, aby ujrzeć różnicę między przecudnym światem przyrody — a pobielanymi grobami ludzkich serc! Ja pragnę dla Różyckiego innego wyjścia z sytuacji, innego spojrzenia w byt ludzki.

Myśli które wypowiada „tak dziecinnie i kobieco, tak miękko i łagodnie i tak ślicznie" — jak mówi p. Tetmajer, nie są w możności zaimponować nikomu. Zamiast miękkości, pragnąłbym zobaczyć moc—zamiast łagodności — pogardę mocarza, zamiast kobiecości — męskość! I wtedy zobaczylibyśmy, który Różycki miałby większe szanse ostać się czasowi, czy miękki i kobiecy, czy męski i mocny.

Niezależnie jednak od tego, Różycki taki jaki jest, ma piękne wiersze i jest szczerym poetą. Jego sonety zwłaszcza „Ze wspomnień"—a przedewszystkim cykl sonetów, pod ogólnym tytułem: „Tu ona niegdyś była" posiadają wartość szczerego natchnienia. Miłość i tęsknota przepojona smutkiem melancholji, zasadnicze cechy jego talentu, w tych pięknych sonetach wytworzyły cudną harmonję szlachetnych uczuć. Gorzej się Różycki czuje w altruizmie społecznym i w świecie tajemniczych misterji — nieznanych sił zaświata... tu ma bardzo niewiele do powiedzenia, gdyż treść życia mniej go interesuje niż sama forma. Dlatego najszczerszy i najpiękniejszy jest wówczas, kiedy bezpretensjonalnie opisuje przyrodę, którą odczuwa bardzo silnie. Lecz i tu, zasadnicza cecha jego indywidualności: kobieca miękkość występuje na wierzch. Nie widzi w przyrodzie ani grozy, ani potęgi często niszczącej i fatalnej — nie widzi nic prócz słońca i kwiatów. To jasne niebo nad jego głową — niebo bez chmur i błyskawic, opisywane z łagodnością gołębia, ma wdzięk pastuszej fujarki — I to zamknięte w pierwszorzędną formę, może mieć znaczenie wyższej poezji — ale jednocześnie stwierdza, zbyt wielkie oddalenie, jakie zachodzi między duszą poety, a głębiami żywota ludzkiego.

Różycki przychodzi do gotowego. Mam wrażenie, że świat widzialny ma dla niego wartość pretekstu do napisania sentymentalnego wiersza, który w albumie panny na wydaniu może być sensacją! Ale świata niewidzialnego, świata tajemnic i przeczuć, świata trwogi i rozpaczy, świata posępnego szaleństwa i męki przeżyć wewnętrznych, najwyższej tęsknoty twórczej—nie widzi. Jest poetą z Bożej łaski, jak mówi p. Tetmajer, myśląc zapewne o łatwości pisania — to pewne — ale ta łaska,jest dziwnie pańską łaską, co na pstrym koniu jeździ i niedozwala Różyckiemu skupić się wewnętrznie i czegoż nareszcie *zażądać*! Poeta płacze i prosi aby go *wszyscy kochali* i o *ciepłe słowo* — lecz po co mu miłość wszystkich ludzi? Bismarckowska zasada: wolę żeby mnie się bano, niż kochano — dziwnie się spotyka z Nietzcheańskim pojmowaniem nadczłowieczeństwa. Miłość ludzka dla artysty istotnie silnego wewnętrznie, jest zawsze mniej warta od ludzkiej nienawiści, która go hartuje i wzmacnia w przekonaniu. Różycki, któremu Tetmajer z takim entuzjazmem przylepia szyldzik kobiecości, najpiękniej wygląda, kiedy stoi na stanowisku mężczyzny kochającego lub zdradzonego. Jego tęsknota, nabiera charakteru właściwego, jego miłość tchnie szczerą namiętnością, ale kiedy kwili i żali się, że jest samotny, kiedy prosi, aby za niego pacierz mówiono, i o „ciepłe słowo" — i o miłość — traci lot swego talentu. Staje się słabym człowiekiem który pisze sentymentalne wiersze z takimi łzami na rzęsach.

Wiem, że ani moje uwagi, ani wszystkie recenzje razem wzięte, nie zmienią już nic w indywidualności tego poety. Jego poezja zostanie jaką jest, a jeżeli się kiedyś zmieni to razem z twórcą. — Chcę jednak zaznaczyć, że to co w większości uchodzi za wartość — dla mnie tą wartością nie jest. Różycki, bez względu na to, *jaki być nie powinien* — ma niezaprzeczony talent i dlatego napisał tak piękne i świetnie wyczute Sonety, jak te, o których wspominałem.

Ale niestety, muszę powtórzyć, że Różycki niema żadnych ideałów.

Nic nie pragnie i niczego nie żąda. — Gdyby

Różycki więcej wymagał a mniej prosił, gdyby potrafił odwrócić człowieka i zajrzeć do tych zakamarków, których nie lubi przed nikim otworzyć, może miałby mniej czytelników między pospólstwem duchowym, odsunąwszy się od pospolitości, zobaczyłby w człowieku to, co jest jego tragizmem. Wówczas napewno jego smutek, stałby się bardziej posępny, melancholja czarną — ale miłość nie znalazłszy na ziemi ideału poszłaby go szukać może dalej, i kto wie, czy nie znalazłaby go sama, gdzie się znajduje... długowieczność i niesmiertelność!

St. Kiedrzyński.

NA DOBIE.

Krwawy Natan.

Nie wiadomo, czy p. Loewenstein z przydomkiem „Rydzyński" stara się umyślnie o to, by zostawić po sobie najfatalniejszą pamięć — ale faktem jest, że gdyby tego pragnął, nie mógłby inaczej sobie poczynać.

Toż nie przebrzmiały jeszcze echa tej haniebnej tranzakcji rydzyńskiej, do której lwowski adwokat przyczynił się całą siłą swej obrotności — aliści znów w Drohobyczu, podczas wyborów, gdy salwa morderca usłała trupami ulice nędznego miasteczka, Loewenstein był osią centralną smutnego zdarzenia, a pośrednio i głównym jego sprawcą.

Nazbyt pochopnie prasa nasza zwala winę na nieszczęsne ofiary wypadku, wymyślając trupom od prowokatorów, co jest wysoce niepięknym, nieszlachetnym giestem.

Bezpośrednim sprawcą wystrzałów był pono pan lejtnant o niedość donośnym głosie i wadliwej dykcji, skutkiem czego komenda: *„fertig!"* w zgiełku została pojęta jako decydujące: *„feuer!"*

Lecz te nieszczęsne salwy broniły p. Loewensteina przed zuchwalstwem politycznych jego przeciwników: p. Loewenstein jest w Galicji, w sferach miarodajnych, *persona gratissima.*

Było by jednak lepiej, gdyby syt złota i sławy, spoczął na laurach rydzyńskich, zamiast piąć się po nowe zaszczyty, wpływy a edostojeństwa. Niepospolita ruchliwość i rzut kość tgo męża tym razem nie wyszła mu na dobre; po „pyrrusowym" w Drohobyczu zwycięztwie — wypadło wyrzec się mandatu, przepojonego krwią, i to krwią własnych, semickich współplemieńców, których *Now. Wremia* z nadspodziewaną galanterją promuje do godności „halickich Rosjan".

P. Loewenstein radby Suworinowi uwierzyć — ale nie może.

Wiedeńscy sjoniści nazbyt namacalny obiecują mu dowód mściwej swojej urazy. Więc wyrzekł się p. Loewenstein „krwawo" zapracowanych owoców swego zwycięstwa, którego specyficzny przebieg nie przysporzył mu przyjaciół w opinji.

Endecja przeciw Portugalji.

Warszawski organ t. zw. demokracji narodowej, lata całe wojujący z bezbożną rzeczpospolitą francuską, wydał ostatnio wojnę i republice portugalskiej.

Przypuszczać należy, że istnienie tej ostatniej nie zostało przez to zachwiane.

Powodem do kroków zaczepnych był rozdział Kościoła i Państwa, dokonany, jak niesie fama, przez Alfonsa Costa, ministra sprawiedliwości i „zaciekłego wolnomyśliciela".

Treść dekretu o rozdziale przytoczyliśmy w czasie właściwym, wiedzą więc nasi czytelnicy, że okrzyczany ten „gwałt" jest poprostu obaleniem wyzysku i skasowaniem bajecznych przywilejów kleru, co nietylko społeczeństwu, ale w pierwszym rzędzie *religji* wyjdzie na korzyść.

Było rzeczą najpilniejszej potrzeby, naglącą poprostu koniecznością owo uzdrowienie stosunków kościelnych, straszliwie zabagnionych wiekowym ścisłym sojuszem łupieżczego kleru z rozbójniczą kamaryllą dworską.

Nadto, był akt rozdziału czynem rozumnego patrjotyzmu, aktem obrony własnej ze strony ludności, ogłupianej i łupionej przez zorganizowany mocno zespół, stojący ponad prawem i zależny tylko od Watykanu.

I właśnie najniefortunniej gniewa się *Gazeta Warszawska* na to, że obalono „hierarchję kościoła katolickiego, którego głową w Portugalji byłby (będzie) p. Costa, a nie Papież".

Zacna *Gazeta* ma słuszność zresztą z katolickiego punktu widzenia: bo z punktu portugalskiego (a o nim tu może być tylko mowa) pożądaną jest właśnie przewaga p. Costa nad kardynałem Merry del Val; p. Costa, jako minister republikański, jest poprostu wykonawcą zleceń, przekazanych mu od całego Narodu.

Czy tej prostej rzeczy nie może pojąć myśl „narodowo-demokratyczna"?

Przyznaje *Gazeta* że „stylizacja dekretu była tak zręczna, że z początku duchowieństwo uważało za możliwe jego przyjęcie. Zwłaszcza wydawało się korzystnym postanowienie, że wprawdzie państwo jest właścicielem kościołów, ale użytkowanie świątyń zagwarantowane jest po wszystkie czasy duchowieństwu katolickiemu; państwo nadto przyjmuje na siebie koszty naprawy. Dalej dekret zapewniał księżom obecnie sprawującym swoje funkcje — dalsze otrzymywanie pensji z kasy państwowej". Ale — ten pozorny liberalizm (jakże go cenią śmiertelni wrogowie, gdy z niego żyć wypadnie!) okazał się intrygą piekielną. Bo oto — woła *Gazeta* — zbadanie dalszych przepisów wykazało, że chodzi o zupełne skrępowanie kościoła i uzależnienie go od rządu.

„Rząd, wypłacając dawnym proboszczom pensje, wymaga prawa zatwierdzania księży na te stanowiska, niwecząc prawo wolnego mianowania przez biskupów. Tego samego żąda od Papieża przy mianowaniu biskupów. Nawet ci proboszczowie, którzy będą mianowani po 1 lipca 1911 r., a więc nie będą już otrzymywali pensji skarbowych, podlegać mają zatwierdzeniu władz świeckich, chociaż z biegiem lat wydatki rządu na pensje ustaną. Na wzór prawa francuskiego, zawiadywanie funduszami kościelnymi przejść ma w ręce stowarzyszeń kościelnych, do których niewolno należeć księżom; świeccy członkowie mogą odmówić wypłacania pensji niemiłemu im księdzu".

Tyle *Gazeta Warszawska.* Rozpatrzmy te zarzuty. *Primo*, kontrola kleru ze strony państwa świeckiego jest aktem narodowego samorządu w rzeczach kościelnych, jak np. kontrola spraw miejskich jest aktem tegoż samorządu pod względem gospodarczo-społecznym.

Secundo, zawiadywanie funduszami kościelnymi przez ogół parafjan jest podstawowym aktem demokracji, uznanym przez wszystkie kościoły reformowane, które nadto stosują zasadę wybieralności księży.

Dwa więc główne motywy rozdziału Kościoła i Państwa: narodowy i demokratyczny — wywołały odruch wstrętu ze strony organu naszej „demokracji narodowej".

Sądzimy, że wina tego paradoksu nie jest po stronie... Portugalji.

W końcu przesyła *Gazeta Warszawska* nowej republice rodzaj groźnego *memento*:

„Wobec tego Papież wydał encyklikę, która jest wypowiedzeniem wojny, po zerwaniu przez rzeczpospolitą konkordatu. Zdaje się, że dyktatorzy portugalscy nie oczekiwali takiego zaostrzenia zatargu.

W kraju, gdzie olbrzymia większość ludności składa się z wierzących katolików, wojna z kościołem jest dla rzeczpospospolitej niebezpieczniejsza od spisku rojalistów".

Ostatnie zdanie szczególny, niepozbawiony komizmu, sprawia efekt, gdy przypomnimy sobie, że *ancien regime* w Portugalji składał się w równej części z reakcji klerykalnej i absolutystycznej.

Ten stan rzeczy obaliła republika postępowa i wolnomyślna. Powstała ona pod hasłem walki z podwójną reakcją i to hasło, tak świętym lękiem przejmujące *Gazetę*, było najpewniejszą rękojmią zwycięztwa.

Pierwsze kroki naszego lotnictwa.

Udatnymi nazwać ich nie można. Mimo całej pobłażliwości dla najmłodszego swego Benjaminka, który figluje od niedawna na polach Mokotowskich, Warszawa nie jest zadowolona z popisów *Awjaty*. Istotnie, wypadły one nieszczególnie. Dwa latawce zniszczone, najlepszy lotnik tej szkoły p. Segno, potłuczony boleśnie w upadku zeszłej soboty (inni piloci nawet nie wchodzą w rachubę) — w rezultacie, popisy i wzloty na pewien czas zawieszone — oto pierwociny lotnictwa polskiego w sezonie bieżącym.

Czym się to dzieje? Dlaczego gdzieindziej na takich samych aparatach — Farmana i Bleriota — tacy sami ludzie dokonali wypraw tysiącwiorstowych, lecąc z krańca na kraniec Europy — a u nas kilkakroć okrążony tor bez wypadku jest już rekordem śmiałości i sztuki?...

Nietrudno na to odpowiedzieć.

Poprostu trzeba przyznać, że lotnictwo jest fazą następną automobilizmu i musi być przezeń poprzedzone. Zanim uczyć się tańca, trzeba umieć chodzić. Otóż, w porównaniu do lotnictwa, automobilizm jest sportem pieszym. Kto chce tę fazę pominąć — naraża się na niepowodzenia i zawód, czego dowodem — debiuty *Awjaty*.

Zapewne, szlachetna sztuka bujania w przestworzu więcej bezpośrednich zawiera ponęt, niż poziomy bieg samochodów; ale nie wolno zabierać się do niej zbyt obcesowo i pośpiesznie.

Lotnik winien być przedewszystkim szoferem.

Droga do *Awjaty* prowadzi przez szkołę palaczy. Wszak aeroplan i samochód tę samę posiadają duszę: jest nią motor benzynowy.

Tę duszę trzeba poznać, wystudjować, zgłębić praktycznie; trzeba się wczuć w rytmiczny oddech motoru, znać wszystkie modulacje jego głosu, przeniknąć intymną jego naturę, trzeba ukochać każdą w nim śrubkę — wtedy dopiero staje się on posłuszny każdemu skinieniu.

To też lotnictwo zrodziło się i rozrosło w kraju, który jest niezaprzeczoną ojczyzną samochodu — we Francji. Lwia część francuskich „królów powietrza"— to sportsmeni, gorliwi palacze, zawodowcy, lub fabrykanci samochodów: Blériot, Farman, Latham, Vedrines.

Ci wszyscy zżyli się od dziecka z funkcjami motoru wybuchowego; zapach benzyny to zwykła ich atmosfera, to też dosiadają swych 60-konnych „Gnomów" z równą wprawą, jak Hunn dosiadał wierzchowca, na którego grzbiecie spędzał pół życia.

U nas, w kraju, gdzie automobil niema żadnego prawie zastosowania, — nie może być awjacji. Dopiero teraz budzi się zamiłowanie do samojazdu, ale długich trzeba lat na to, by przez ustawiczną praktykę wytworzył się typ „rasowych" lotników, spokojnych, wprawnych, zamiłowanych w swym fachu, bez mrugnięcia gotowych rzucić w przestrzeń rozpędzoną maszynę — i zwyciężyć powietrze.

Ztąd wniosek: fabryka *Awjata* powinna „z hymnu zstąpić do prostej powieści", wyrzec się na chwilę sfer górnych atmosfery, zwinąć albo zredukować swój dział lotniczy, natomiast cały należny nacisk położyć na wyrób samochodów, kładąc podwaliny pod pierwszą krajową fabrykę tych maszyn, solidnych i dopasowanych do tutejszych dróg.

Linoskoki.

Dzienniki warszawskie ogłosiły uchwały Zjazdu stronnictwa „Narodowo-demokratycznego" w sprawie szkolnej. Prasa nasza przeceniła naogół ich wpływ i znaczenie. Niewątpliwie bowiem praktyczne skutki tych uchwał będą bardzo nikłe; najprzód dlatego, że grupa, która powstała z prawicy potężnego niegdyś stronnictwa i nazwę jego zatrzymała, wszelki wpływ na młodzież oddawna straciła; po drugie zaś dlatego, że szkoła średnia państwowa zapełniła się dostatecznie jeszcze przed ogłoszeniem deklaracji.

Natomiast dokument ten stanowi charakterystyczny przyczynek do psychologji zbankrutowanego w kraju i bankrutującego w Galicji stronnictwa — cechuje go zwykła nieszczerość i mętność enuncjacji tego obozu. Zamiast argumentów rzeczowych, które oddawna otwarcie i szczerze wypowiedziały dzienniki realistyczne, znajdujemy tam powoływanie się na „względy narodowe" bez wyjaśnienia na czym one w danej sprawie polegają.

Grupa adherentów p. Dmowskiego liczy na to, że społeczeństwo bezkrytycznie uzna za narodowe to, co oni w danej chwili za „narodowe" ogłoszą, choćby to było w najjaskrawszej sprzeczności z tym, co wczoraj pod groźbą ekskomuniki za dogmat uznawali.

Oprócz argumentów niejasnych i nieszczerych znajdujemy w komunikacie brzydką insynuację, inaczej bowiem nazwać nie możemy posądzenia społeczeństwa polskiego, jakoby „prześladowało" młodzież, uczęszczającą do szkół rządowych; jest to niezrozumiałe dawanie oręża do rąk naszych najserdeczniejszych, tymbardziej karygodne, że nie oparte na żadnych realnych podstawach; faktów bowiem „prześladowania" nietylko ze strony kulturalnego ogółu naszego ale nawet bodaj ze strony najbardziej szowinistycznych „narodowców" nigdzie nie było.

Wzywanie przedstawicielstwa polskiego, aby zajęło się podniesieniem poziomu naukowego w Uniwersytecie rosyjskim w Warszawie jest pomysłem wprost naiwnym, pomieszczonym w uchwałach jedynie chyba dla osłabienia efektu, jaki mogłyby wywołać stwierdzenie na początku deklaracji niskiego poziomu tej uczelni.

Nie podzielamy poglądu, wypowiedzianego przez niektóre pisma, że omawiane uchwały wywołane zostały jedynie względami taktyki partyjnej i poniekąd osobistymi, a mianowicie, że podyktowane zostały przez chęć uzyskania opinji prawomyślnego stronnictwa i otrzymania tą drogą legalizacji, lub w celach umożliwienia się pana Dmowskiego w Petersburgu, w „czwartej" dumie, tłómaczą się one bowiem dostatecznie ewolucją w kierunku skrajnie ugodowym tej grupy, która się obecnie narodową demokracją nazywa. Dokument ten blasku jego autorom nie przysporzy; nie cechuje go nawet, jak mylnie sądzą niektórzy, odwaga cywilna, którąby raczej przyznać należało wystąpieniom w tej sprawie realistów przed kilkoma laty. Z drugiej strony, nie przyniesie on także spodziewanego przez jego autorów „uzdrowienia nienormalnych i szkodliwych stosunków", natomiast może powiększyć nawet w znacznym stopniu istniejący zamęt, który i w wielu innych dziedzinach stronnictwo narodowo-demokratyczne, mające „ład i porządek" na ustach, wprowadziło.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* W jednym z ost. numerów *Kurjera* lubelskiego niepodpisany autor skreślił feljetonik, w zwięzłej i lekkiej formie ujmujący poważną i drażliwą sprawę.

„Z mojej przyźby" — bo taki jest tytuł feljetonu— wszczął autor dyskusję z kanonikiem lubelskiej katedry i takie posłyszał uwagi:

— Lubujecie się w naszych błędach. Upadki nasze — jak owa sprawa Macocha i Dąbrowskiego to najmilszy przedmiot waszych dyskusji i artykułów, ale dlaczegóż to przemilczanie o naszych zasługach, o tym że Konarski, Kołłątaj, Staszic, ta narodowa trójca — to byli duchowego stanu mężowie.

Odpowiedziałem.

— Pamiętamy i o tym i o tamtym, pamiętamy a nawet głośno mówiliśmy niedawno, że to właśnie jednym z symptomów odradzania się myśli polskiej w połowie 18 w. było, iż wśród wskrzesicieli rozumu polskiego spotykamy nawet przedstawicieli katolickiego kościoła i co najdziwniejsze, że oni to właśnie z biskupem swoim Ign. Krasickim na czele „jednym z najmędrszych ludzi swej epoki" stanęli wówczas w pierwszym szeregu pochodu postępu myśli i czynu. Wszakże to pierwszy Konarski rozpoczął burzyć duchowną w Polsce szkołę i wznosić świecką: Collegium Nobilum.

Wszakże to Kołłątaj pisał — o sobie: „Dwie wielkie prace wypełniały całe moje życie: Konstytucja 3-go maja i niecenie światła wśród mas ludowych".

Wszakże to Staszic oddał swój majątek w połowie na lud Hrubieszowski, a w drugiej — na gmach Tow. Przyjaciół Nauk.

Gdy jednocześnie płody ich myśli, te wiekopomne dzieła: „O skutecznym rad sposobie", „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego" i „Kuźnica", nie mówiąc o pracach Naruszewicza i Krasickiego, o zasługach dla nauki polskiej Piramowicza, o bibljotece Załuskiego. .

Ale cóż! Gdy w bólach i mękach rozpoczęte nasze odrodzenie, rozbiło sobie piersi o opancerzony trójzębny wał, gdyśmy runęli, jak żaden nigdy na świecie naród, a po czasie jęli jako tako „lizać swe rany" gdy maltretowana polska myśl Mochnackiego, Lelewela, Worcla, Jędzeja Sniadeckiego, Jana Olrycha Szanieckiego... zaczęła znów promieniować —was już, was „duchownych" nie stało!

Boście, liczni i dość silni by przeprowadzić „Prawo biskupie" — łamiąc w zakresie najżywotniejszych praw ducha ludzkiego — kodeks Napoleona, znów jak za „starych dobrych czasów" stanęli pod sztandarem najciemniejszego obskurantyzmu a na postęp cisnęliście przekleństwo

Więc nie powołujcie się na swoich Kołłątajów, Staszików... bo dzisiejsi wasi Puzyni i Popiele, Niedziałkowscy i Zdzitowieccy... ale dajmy pokój Sz. Kanoniku temu, bo widzę, że sprawia ci to przykrość i boleść.

Wykreślił ongi kościół chrześcijański ze swego programu szczęście doczesne człowieka i tym podciął gałęź na której siedział. Odstąpił Polski kler od świetnie zapoczątkowanej w drugiej połowie 18-go W. przez swoich czołowych ludzi, postępowej Polskiej myśli i... tym kopie sobie na polskiej ziemi wieczysty grób.

* *Dokoła wyborów galicyjskich.* Prasa t. zw. narodowo demokratyczna wciąż pełna jest gróźb i wyrzekań, głównie pod adresem namiestnika p. Bobrzyńskiego. Endecja, stronnictwo *par excellence* rządowe, mimo nacjonalistycznych swoich frazesów, nie może istnieć poprostu bez poparcia zgóry; dowodem, ostatnie wybory.

Pisma partyjne jęły się teraz nowego sposobu: oto usiłują wmówić w sfery rządzące, że bez przymierza z endecją kraj popadnie w... anarchię (*risum teneatis*). Zwiastunem grożącej anarchji ma być zwłaszcza p. Breiter, lwowski „dziki", którego wybor uważa *Słowo Polskie* za skandal niebywały, zapominając potrosze, że p. Breiter posłował już dawniej, kiedy endecy trzęśli szczytami władzy krajowej...

Ze swej jednak strony prasa endecka wściekłymi atakami na namiestnika daje istotny, gorszący obraz anarchji. Słusznie wypomina jej to umiarkowany *Dziennik Polski* tymi słowy:

„Ataki, skierowane przeciw p. Bobrzyńskiemu stawały się coraz częstsze, coraz ostrzejsze, weszły w końcu w zwyczaj codzienny i w system oskarżeń to o podpalenie jakiejś karczmy pod Samborem, to o wywołanie krwawej awantury w Drohobyczu. Prasa ta zaczęła podburzać urzędników politycznych przeciw Namiestnictwu, wmawiała w nich, że ich poczucie obywatelskie, ich patrjotyzm, wreszcie ich ludzka godność wymaga, by wypowiedzieli posłuszeństwo swemu szefowi, a gdy oni, naturalnie, nie uczynili tego, zaczęła ta prasa mścić się na nich w ten sposób, że wciąż zarzucała im jakieś nadużycia, wołające o pomstę do nieba. Gdy i to nie skutkowało, wówczas jęła owa prasa oskarzać przed Wiedniem szefa politycznej władzy o to, że szkodzi dynastji, państwu austrjackiemu i rządowi.

Wszystko to było w prasie wszechpolskiej, wszystkie te środki jątrzeni ona wyczerpała".

Rychło wyszło na jaw, że t. zw. demokracja narodowa, nieznośna i szkodliwa dla kraju kiedy jest przy władzy, bynajmniej nie lepszą jest w opozycji.

KRONIKA.

WYSTAWA PRZEMYSŁU KROLESTWA W KRAKOWIE. Wybory do austryjackiej Rady Państwa usunęły na plan dalszy w prasie galicyjskiej gościnę naszej wystawy ruchomej prób i wzorów przemysłu krajowego, która wyruszając z Warszawy na objazd miejscowości nad Wisłą położonych, rozpoczęła swą wędrówkę od Krakowa. Mimo szczupłych wiadomości w dziennikach krakowskich, zajętych kampanją wyborczą, społeczeństwo tameczne wielce się wystawą interesowało, czego dowodem 9-cio dniowa gościna wystawy, która codzień ściągała tłumy zwiedzających.

Ze względu na zainteresowanie się wystawą w naszej dzielnicy, której przemysł ona reprezentuje, Zarząd Koła Samopomocy czuje się w obowiązku przedstawić pokrótce sprawozdanie z pobytu wystawy w Krakowie, tem bardziej, że — jak to już dziś wywnioskować można, przyczyni się ona do nawiązania racjonalnych stosunków handlowych pomiędzy Królestwem a Galicją: pierwszemu ułatwi rynek zbytu, drugiej dopomoże do wyrugowania wyrobów niemieckich, które — jeśli zajęły rynek tameczny, — to bynajmniej nie dzięki taniości lub dobroci swych wyrobów, lecz — jak się obecnie okazuje — dzięki umiejętnemu nawiązywaniu stosunków handlowych. Wystawa nasza wyrszyła w drogę w dn. 1-ym czerwca na statku „WAWEL". Po załatwieniu formalności celnych w Sandomierzu, w dn. 4-ym t. m. rano stanęła w Niepołomicach, gdzie dodano jej konwój straży celnej, z którym w dn. 6-ym b. m. stanęła w Krakowie. Zbyt długa ta podróż wywołaną została dwomą niespodziankami, które kapryśna Wisła zgotowała wyprawie. Pomiędzy Sandomierzem a Niepołomicami koryto Wisły znikło zupełnie pod naniesionym z nieuregulowanego po stronie rosyjskiej brzegu piaskiem. Załoga statku musiała w piasku kopać kanał, aby statek mógł ruszyć dalej. Praca ta zajęła 21 godzin. Pod samym Krakowem wskutek nizkiego stanu wody statek wpadł na skałę podwodną: naprawa 3-ch powstałych stąd w dnie statku dziur zajęła znowu kilka godzin. Następny dzień po przybyciu zajęły formalności celne, tak że wystawę po ostatecznem urządzeniu można było otworzyć w dn. 8-ym b. m.

Na akt otwarcia stawili się: prezydent miasta, pre-

zes i vice-prezes Izby Handlowej, prezes i vice-prezes Towarzystwa Technicznego, prezes Kongregacji Kupieckiej, prezes Krakowskiego Oddziału Ligi Pomocy Przemysłowej, delegaci prasy oraz wielu przedstawicieli miejscowego przemysłu i handlu. Pięknie udekorowany statek, mieszczący wystawę, stał na kotwicy pod samym Wawelem i przez dni 9 dostępny był dla zwiedzających od rana do zmroku. Na wystawie ciągle było rojno. Przewinęła się prawie cała młodzież szkolna z profesorami swymi na czele. Nie brakło również wycieczek z po za Krakowa między innymi z górą 600 osób ze Lwowa. Kongregacje zawodowe zwiedzały wystawę również zbiorowo i kupcy i rzemieślnicy stanowili wśród zwiedzających liczbę bardzo poważną, wyrażając często zdumienie że Królestwo Polskie te lub inne wyroby produkuje po cenach niższych niż te, które zaofiarowywują kupcom galicyjskim przemysłowcy niemieccy. Ta nieznajomość naszego rynku wśród kupiectwa galicyjskiego podyktowała projekt utworzenia w Krakowie stałej wystawy prób i wzorów przemysłu Królestwa Polskiego. Zaraz na gorąco przystąpiono do badania taryf cłowych aby z góry określić jakie z pośród naszych wyrobów będą mogły konkurować ze źródłami obcemi. Pobieżne zaznajomienie się z taryfami już dziś pozwala na wskazanie szeregu poważnych artykułów zbytu. Są to pomiędzy innymi wyroby techniczne: konopne, gumowe i azbestowe; niektóre pomocy naukowej (wydawnictwa Tow. „URANJA"): kosmetyki, niektóre gatunki skór; artykuły malarskie (płótno, ramy, farby): forniery, wyroby platerowane solidnej roboty, naczynia, koszulki gazowe, które Galicja dotąd sprowadza z Niemiec po niebywale drogiej cenie, wreszcie, pomimo wysokiego cła, niektóre artykuły spożywcze, jako to: makarony maszynowe, biszkopty, pierniki, cukry, ryby wędzone i t. p. Wszystkich artykułów wyliczać nie sposób. Wprowadzenie większości z nich zależy od umiejętnego taryfowania (zmiany opakowania, niewykończania pewnych wyrobów, sprowadzania ich w częściach), czego wypracowaniem zajmie się projektowana stała wystawa prób i wzorów przemysłu Królestwa w Krakowie.

Zainteresowanie hasłem popierania wytwórczości Królestwa kilkunastu tysięcy mieszkańców Krakowa, którzy zwiedzili wystawę, uświadomienie ogółu o stanie naszego przemysłu przez prasę galicyjską, która na podstawie dostarczonych materjałów przyrzekła po kampanji wyborczej poświęcić przemysłowi Królestwa poważniejsze artykuły, wreszcie poczyniono pierwsze, ale bardzo poważne kroki do nawiązania racjonalnych stosunków handlowych z kupiectwem galicyjskiem, oto doraźna korzyść jaką 9-cio dniowy pobyt wystawy ruchomej w Krakowie przynosi przemysłowi krajowemu.

Rozpoczęcie tej akcji ma tem lepsze widoki powodzenia, że powstaje ono na gruncie wybitnie społecznym, ponieważ opieką swą otoczyły wystawę tak poważne instytucje, jak Liga Pomocy Przemysłowej i Krakowskie Towarzystwo Techniczne, których zarządom należy się serdeczne podziękowanie za gościnę, pomoc przy urządzeniu postoju i ułatwienie szeregu formalności.

ROZŁAM WŚRÓD MARJAWITÓW. Zarządzenia, poczynione przez biskupa Kowalskiego, wywołały naturalny zresztą odpór wśród rzesz marjawickich, które tem większą właśnie sympatją poczęły otaczać o. Żebrowskiego.

Wszczęto starania o zatwierdzenie nowej gminy religijnej „chrześcjan ewangelicznych", które ostatecznie uwieńczył pomyślny wynik.

Prawdopodobnie nowa gmina, której ideałem jest dążenie do jaknajwiększej prostoty, osłabi wpływy marjawityzmu.

Jak dotąd, chrześcjanie ewangeliczni nie mają własnego przybytku i zbierają się na modlitwy w prowizorycznie urządzanej kaplicy przy ul. Krochmalnej.

Zapewne obecnie sprawa ta wejdzie na nowe tory i w niedalekiej przyszłości staną się oni posiadaczami własnej kaplicy.

Podobno w tym kierunku poczyniono już odpowiednie kroki i wkrótce rozpocząć się ma budowa kaplicy na własnym placu. Przedsięwzięcie to ma widoki powodzenia, gdyż o. Żebrowski posiada zmysł organizatorski i szerszej miary pomysłowość.

STRASZLIWA STATYSTYKA. Od jednego z lekarzy szkolnych, zbierającego szczegółową statystykę samobójstw wśród młodzieży, uczęszczającej do szkół, gazety warszawskie otrzymały następujące informacje:

W roku 1910 notowano w pismach 14 przypadków samobójstw wśród młodzieży szkolnej Królestwa Polskiego (w r. 1909—11 przypadków). Z nich 12 dotyczyło chłopców, 2 — dziewcząt. Na Warszawę przypadło 10 samobójstw, na prowincję 4. W 12 przypadkach nastąpiła śmierć, w 2 uratowano desperatów od śmierci. Co się tyczy wieku samobójstw, to w wieku lat 10 notowano 1 przypadek, 15 lat — 4, 16 — 2, 17 — 3, 18 — 1, 19 — 2 i w 20 — 1. W 6 przypadkach jako sposobu pozbawienia się życia, użyto otrucia, w 5 wystrzału z rewolweru, w 1 utopienia, w 1 rzucania się z okna, w 1 powieszeniu się.

Bibljografja.

Podwójny zeszyt **Sfinksa** za maj i czerwiec, zawiera treść następującą: „Franciszek Żmurko", przez A. Gawińskiego: Z niedrukowanych wierszy Marji Konodnickiej; „Filozofja Cyprana Norwida" przez Kazimierza Bereżyńskiego; „Kwiat paproci" przez Walerję Szalay; Bolesława Lutomskiego; „Problemat pracy polskiej", przez Walerego Gostomskiego: „Listy Vinceint van Gogh'a, przez M. Sterlinga: „Przebudzenie", przez Macieja R. Wierzbińskiego: „Pragmatyzm", przez dr. R. Radziwiłłowicza; „Sen o pawich piórach", przez Marję Grossek; „Po zachodzie", przez St. Stasiaka: „Leonardo da Vinci", przez N. Miłkowską; „Dumka", przez Włodzimierza Pińskiego; „Z oddali", przez L. Jahokowską-Koszutską: „Z literatury francuskiej—J. Rodenbach", przez Z. Mayzel-Pierre: "Apologja Jana Lemańskiego", przez Jana Lorentowicza; „Pierwsza historja filozofji polskiej", przez Wł. M. Kozłowskiego. Pod tytułem „Antologja" znajdujemy cały szereg poezji różnych autorów. Zeszyt ozdobiony jest całym szeregiem rycin i winiet.

OFIARY.

Na rzecz Tow. popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskim od następujących pracowników T-wa Nikopol. Marjupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 5, S. Prauss rb. 3 B. Jankowski rb. 3, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Czewnicki rb. 3, S. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb. 2, S. Kleinsznek rb. 1, S. Polarski rb. 1, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, L. Czaykowski rb. 1, I. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, L. Mieczyński kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, P. Mitrocki kop. 50, H. Blumel kop. 50, W. Popiel kop. 50, H. Kolberg rb. 10, P. Świetliński kop. 50. Ogółem rb. 65.

Na Kruszynek: Wojciechowski z Tomska rb. 10, W. Keppe z Łodzi rb. 2.

Na Sokołówek: Wojciechowski z Tomska rb. 10.



OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca **Józef Jabłoński**. Redaktor **Aleksander John**.

Druk K. Kowalowskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.